Nr. 41. Lwów, Niedziela dnia 17. Czerwca 1877 r. **Tom V.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK IV.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni Ad. Dygasińskiego.

Redakcya:
Ulica Akademicka l. 8.
Administracya:
Księgarnia Polska l. 12 ul. Kopernika.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

ZANIEDBANIE JĘZYKA.

Nieraz już mówiliśmy o smutnych następstwach naszego rozdziału na trzy dzielnice, następstwach, którym całą siłą opierać się powinniśmy. Nie mówiliśmy jednak dotychczas o jednem z najważniejszych, o skażeniu języka. Bolesna to sprawa, bo przyszło już do tego, że dzieci jednej matki, albo wyśmiewać się muszą z błędów popełnianych wzajemnie, albo wprost nie rozumieją własnych zwrotów językowych, tak dalece obce są one duchowi ojczystej mowy! Na Litwie i w kongresówce rusycyzmy, w poznańskiem i w Galicyi germanizmy, a w tej ostatniej nadto wstrętne naleciałości żydowsko-niemieckiego żargonu, tak dalece zeszpeciły naszę mowę, że przy nieuniknionym wpływie formułek urzędowych, a z drugiej strony przy dobrowolnem psuciu języka francuzczyzną, w kołach tak zwanych arystokratycznych, możemy się spodziewać coraz to większego wyrodzenia się, coraz to większego skażenia tej jedynej po przodkach spuścizny, do której nam wolno jeszcze przyznawać się wszędzie a przynajmniej prawie wszędzie, bez narażenia się na zarzut „buntowniczych dążności.“ Nie wszędzie nam wolno wypowiadać tradycyjne uczucia, ale przecież książka polska i pismo polskie nie są jeszcze owocem zakazanym nawet na Litwie, nawet na Rusi. Strzeżmyż tego słowa naszego, w którem duch narodu żyje i żyć powinien!

Jeśli się jednak rozejrzymy po kraju, ze smutkiem dojdziemy do przekonania, że mimo powszechnie uznawanego skażenia, że wobec już to nieuniknionych już dobrowolnie sprowadzanych wpływów obczyzny— tak mało jest usiłowań celem naprawy złego, tak straszne zaniedbanie ojczystej mowy! W Galicyi jeden tylko zmarły uczony, prof. Skobel, z fanatyzmem rzec można, bronił czystości mowy— inne wystąpienia zbyt były dorywcze i chwilowe, ażeby wpływ jakiś wywrzeć mogły. W Kongresówce w ostatnich czasach tylko dwa pisma: *Gazeta Polska* w artykułach pp. H. D. B. i Ludwika Szczerbowicza-Wieczora, oraz *Kuryer Codzienny* w rozprawkach p. Walickiego, starały się z pewną wytrwałością wytykać błędy i domagać się ich poprawy — a z krytyków jeden tylko p. P. Chmielowski pilniejszą zwracał uwagę na językową stronę krytykowanych utworów, już to w *Niwie*, już we wspomnianej wyżej *Gazecie Polskiej*. Reszta pism i krytyków, albo traktowała tę sprawę z lekceważeniem albo nawet nie zwracała na nią uwagi. I tak np. w zakończeniu ostatniego artykułu *Gazety Polskiej* niepodpisany autor (jeśli się nie mylimy prof. L. Sz. W.) pisze, że „wypada mu sprostować zdanie, jakoby inicyatywa podjęta przez p. H. D. B. i przez piszącego te słowa, obudziła w prasie naszej dyskusyą w kwestyi skażenia języka. Niestety— my dwaj pozostajemy i do dziś dnia jedynymi rzecznikami w tej sprawie. Tylko jeszcze *Tyg. Ill.* uczcił wystąpienie p. H. D. B. Inne pisma nietylko zachowują milczenie, ale po dawnemu, ze stałością godną lepszej sprawy, popełniają wytknięte przez nas i niezliczone inne błędy. Niechętni bowiem są u nas ludzie do wszystkiego, czego inicyatywa nie od nich samych pochodzi, i nie radzi przyznają się do błędów i uznają powagę — choćby tylko tych, którzy im przypominają... gramatykę.“

A cóż dopiero mówić o pismach galicyjskich, które pod względem czystości języka o wiele niżej stoją od warszawskich! Ileż to razy, mimo tylokrotnych wystąpień prof. Skobla, mimo wyjątkowego powodzenia jego broszury, czytać w nich można, że ktoś „był przeszkodzony“, że kogoś „zrobiono uważnym;“ ileż to razy zamiast o powodzi lub gradobiciu piszą nam o „klęskach elementarnych“ o „duszpasterzach“ lub „dusz-starownikach“ o „pojedyńczem ubraniu“ i tym podobnych dziwolągach. Nie wierzyliśmy własnym oczom czytając ogłoszenie jednego z poważnych towarzystw że prof. Z. „*trzymać* będzie *odczyt* o machinach parowych.“ Wyrażenia takie jak „szukać *za* kim“ „odbywać rewizyą *za* książkami“ „wątpić *w* co“ „został stać“, „on ma słusznie“, „pięć centy“ „wykonuje“ i t. p. spotkać można nietylko w mowie potocznej ale i w dziennikach. Co zaś najwięcej razi, to powszechne, nawet u wykształconych niby ludzi używanie 4 przyp. przy czasownikach rządzących przypadkiem 2, takich jak *dopełniać, chcieć, uczyć* i t. p. Tak np. czytamy bardzo często, że ktoś „dopełnił *ten ważny obowiązek*“ (Zam. tego ważnego obowiązku). Również pod wpływem niemiecko-żydowskiego żargonu upowszechnił się w Galicyi zwyczaj używania 4go przyp. tam gdzie czasowniki czynne z przeczeniem koniecznie wymagają 2-go przyp. Mówią np. i piszą: „nie mogę *ją* zostawić *samą*“ (zam. jej samej) „nie był wygłosił *te zasady*“ (zam. tych zasad) i t. p.

Dodajmy do tego mnóstwo wyrazów obcych całkiem niepotrzebnie żywcem branych z niemieckiego, a będziemy mieli jeszcze bardzo słaby obraz skażenia języka w Galicyi. A któż dziś stara się usunąć te błędy? — Nikt. Krzewią je właśnie ci, którzy nad czystością języka czuwać powinni: nauczyciele i dziennikarze. Gorące odezwy ś. p. Fr. Skobla i kilka wydań jego dziełka poszły zupełnie na marne i zepsucie szerzy się w najlepsze, wyradzając przyzwyczajenie do tego stopnia, że nie jeden z literatów gotów się sprzeczać o prawidłowość wyrażenia, które jest drapaniem po szkle dla ucha przywykłego do czystej mowy polskiej.

Ale trzeba przyznać, że jeśli starania gorliwych językoznawców tak mało odniosły skutku, to wina w części i w nich samych leży. Każdy z nich mieszał do pewnych ustalonych prawideł swoje osobiste przywidzenia i dziwactwa, osłabiając tem samem wpływ udzielanych przestróg. Zamiast pohamować własny pedantyzm i wytykać jedynie błędy i nowości wybitnie szkodliwe, przyczepiano się do wrażeń już utartych, choć dawniej nieznanych i do wyrazów obcych, których żaden język w specyalnych pracach uniknąć nie może. I podobnie jak Śniadecki oburzał się na wprowadzanie do języka takich wyrazów jak: *szczytność, zaszczytny, zarząd i bezrząd, przygotowawcze, pomocnicze* i t. d. a które przecież przyjęły się i zyskały najzupełniejsze prawo obywatelstwa w języku; tak F. Skobel bez potrzeby

starał się wyrugować wyrazy i wyrażenia takie jak: *uśmiechnięty, powodować, przyprawić kogoś o coś, rzeczoznawca, wprowadzić coś w życie, grać pewną rolę* i. t. p., które również przyjęły się i uszczerbku językowi nie czynią. Przez to zaś, że w pracy Skobla niemal połowa błędów polega tylko na pedantyzmie autora, czytelnik nieoświecony traci wiarę w słuszność sprawy i konieczność reformy, zamiast całą siłą odczuć niebezpieczeństwo skażenia. Podobnież i pisarze z kongresówki bardzo często przesadzali w puryzmie, uważając za błąd to, co jakkolwiek nie było znanem dawniej, może stanowić przecież istotny postęp języka w zbogacaniu się nowemi formami.

Zważywszy to wszystko, sądzimy że, koniecznem jest wydanie takiego dziełka któreby nie wpadając z jednej ostateczności w drugą, ostrzegało mówiących i piszących przed niebezpieczeństwem popełniania zasadniczych błędów i któreby miało dość powagi, ażeby redaktorom pism i dziennikarzom służyć mogło za wskazówkę i przestrogę. Jest to jedna z tych spraw których przypominanie nie może być nigdy zbyt częstem.

SZKLANNY CZŁOWIEK.

Nowella

J. Lama i Włodzimierza Zagórskiego.

(*Ciąg dalszy.*)

Zagadawszy się w salonie z adwokatem — tak ciągnął dalej mój znajomy — zapomniała niebawem ciocia Pstrzykalska o Klimci, o Władysławie i o ślizkiej ich w tej chwili sytuacyi, była to bowiem osoba *du meilleur monde* bezwątpienia, ale nadzwyczaj żywa, a nad wiek swój naiwna i roztargniona, zkąd też po największej części pochodziły jej dziwactwa. Egzaltowana, niepraktyczna, rządząca się wiecznie pierwszemi wrażeniami swego nadzwyczaj ruchliwego umysłu, i wierząca że się wszystko dzieje tak, jak w romansach pani de Genlis, była matka panny Klementyny najdoskonalszym typem owych pań naszych, pamiętających jeszcze czasy księcia Józefa, a wykarmionych sielankami Floriana, Gessnera i Karpińskiego. Zrozumiesz pan, że u osoby takiej wszystko było srebrnym promieniem księżyca, piosnką słowika, i snem konwalii, i że dziwactwa jej wypływały zawsze *d'un mouvement prime sautier, sans arrière-pensée de mauvais goût.*

Dopiero po dwóch godzinach, skończywszy konferencyą z adwokatem, przypomniała sobie ciocia Pstrzykalska chorą Klimcię i jej pocieszyciela; zadysponowawszy więc, aby przyrządzono do herbaty, pospieszyła do pokoiku swej córki, ciekawa co też tam „młodzież" porabia.

— Gdzież jest Władysław? — zapytała zdziwiona nie zastawszy tam naszego bohatera.

— Wyszedł mamciu przed chwilą — odpowiedziała uśmiechając się radośnie p. Klementyna.

— Jakto? wyszedł? nie pożegnawszy się ze mną?

— Ach mamciu! On taki był wzruszony!...

— Co? wzruszony? wzruszony powiadasz?... — rzekła skwapliwie ciocia Pstrzykalska, spostrzegając dopiero wyraz radości malujący się na twarzy jej córki. — No, mówże mój aniołku, mów, mów!...

— Mamciu! mamciu! — zawołała p. Klementyna rzucając się w objęcia swej matki. — Wyznał mi! wyznał mi, że mnie kocha!

— Wyznał ci? Poczciwy chłopiec! O, jakżem szczęśliwa! Jakżem szczęśliwa! — wołała ciocia Pstrzykalska, odwzajemniając pieszczoty swej córki. — Ktoby się był po nim spodziewał tyle odwagi?... Jakto wyznał ci otwarcie, wprost, bez ogródek? *Ah c'est surprenant!* No, powiedzże jak to było.

— To jest kochana mamciu, wprost mi tego nie wyznał. Mama wie przecież jaki on nieśmiały. Ale to co mi powiedział, *c'etait si éloquent!* to było takie wymowne, że wątpić mi niepodobna!... Ach mamciu, mamciu! Jaka ja szczęśliwa!

— I ja także! I ja także! No, ale jakżeż to było? Mów, mów mój aniołku.

— Jakżeż ja to mamie opowiem? To co mówił jest może najmniej ważnem, ale oczy jego, ale głos, ale to jak bladł, jak się czerwienił gdym mu dała do poznania, że rozumiem i przyjmuję jego wyznanie; ale to, jak potem nie mogąc stłumić swego wzruszenia wybiegł z pokoju *éperdu, prèsque fou!...*

— Biedny, biedny chłopiec!... *Ce sont les tourment de l'amour!* — zawołała ciocia przyciskając do piersi płonącą skroń swej córki.

— *Figurez-vous maman* — tak zaczęła panna Klementyna, cedząc słówka powoli, jak gdyby się rozkoszowała przypominaniem doznanych wrażeń — *figurez-vous*, że po wyjściu mamy, zostawszy się ze mną sam na sam, pan Władysław zdawał się zaambarasowanym. .

— Zaambarasowanym? Naturalnie! naturalnie! Nie myślałam o tem wcale wychochodząc do salonu...

— Taki był jakiś nie swój, taki nieśmiały... Proszę mamy, czy mi do twarzy w tym negliżyku?...

— Oczywiście mój aniołku, oczywiście!... Wyglądasz jak różyczka.

— Otóż proszę mamci, żal mi się go zrobiło: *il avait l' air tellement saisi!* Zaczęłam więc z nim rozmowę o poezyi. Pan Władysław zadeklamował mi wierszyk, który przetłumaczył z Beranżera...

— Z Beranżera!?...

— Tak jest z Beranżera: *Beaucoup d'amour.*

— Ah!

— Mamcia nie uwierzy, jak on to ślicznie przetłumaczył, szczególniej *le refrain.*

Nie mam w świecie tym nic a nic,
Prócz miłości mej bez granic!

— Bez granic! Kochany chłopiec! Ani wątpię że będziesz z nim najszczęśliwszą w świecie kobietą.

— O z pewnością mamciu! ja to czuję!... *De fil en aiguille* przeszliśmy z tematu poezyi na temat miłości.., Ach mamo, jaki ten pan Władysław poetyczny! Jakie on ma wzniosłe pojęcia o harmonii siostrzanych dusz!

— Wiem moje dziecko, wiem! To złote serce ten Władysław!...

— Wkroczywszy na ten temat, począł mi się zwierzać, że jest nieszczęśliwym, że go nikt w świecie nie kocha...

— Że go nikt nie kocha?... Cha cha cha! *Quelle idée saugrenue!*

— A mówiąc to miał minę tak nieszczęśliwą, *un air si piteux et si désolé*, że mi się i płakać i śmiać chciało zarazem.

— Biedny chłopiec!

— Prawdziwie że był wtedy biednym, bardzo biednym!... Nie mogąc oprzeć się litości, poczęłam go pocieszać przypominając mu przywiązanie jakie dla niego mają siostra jego, szwagier, pani Ptaszyńska, ale on przyjmował te pociechy moje z niedowierzaniem...

— Biedaczek!...

— A wzdychał tak ciężko, a spozierał tak rozpaczliwie, jak gdyby mi chciał się zwierzyć, że mu nie wystarczają miłość siostry ani też przyjaźń szwagra, ani macierzyńskie przywiązanie ciotki, jak gdyby chciał mi powiedzieć, że zkąd inąd wygląda pociechy...

— *Pauvre garson!*

— Aż kiedy mu dałam do poznania że rozumiem jego tęsknotę, kiedy wyciągnąwszy doń rękę zapewniłam go o naszej dla niego życzliwości, o tem że mama go tak kocha jak własnego syna, wtedy...

— Wtedy?...

— Wtedy uścisnął dłoń moją tak serdecznie, z takim wyrazem wdzięczności... twarz jego rozpromieniła się takim szczęściem, żem odrazu poznała jaką go napełnia uciechą myśl, iż odgadłam jego tajemnicę...

— *Le brave garçon!...* Ale czemuż poszedł?... Jakżebym go serdecznie przycisnęła do piersi!...

— *C'est précisements ce que je ne puis comprendre!...* Już to prawda, że po tych zwierzeniach duszno nam tu jakoś było obojgu... Ja sama byłam poniekąd rada, gdy wyszedł... Widok wzruszenia które go opanowało, bladość jego twarzy, to znów czerwoność, drżenie jego głosu, niepokój, wszystko to było rzeczywiście *émouvant!...* Gdyby był dłużej tu pozostał, to nie mogłabym była się powstrzymać od płaczu. *Il etait si agité, tellement saisi!..*

— Tak, tak! bez wątpienia! Władysław ma serce poety, *un coeur de femme*! Wzruszenie to było dla niego zbyt silnem! Nie dziwię się więc wcale że uciekł nie pożegnawszy się ze mną! O mój kochany aniołku, jakże się cieszę! jakże się cieszę twojem szczęściem! — zakończyła ciocia Pstrzykalska ściskając córkę w swych objęciach.

Wszedłszy właśnie w tej chwili do pokoju Klimci, zastałem obiedwie panie tonące we łzach rozrzewnienia, a ciocia Pstrzykalska wytłumaczyła mi powód tej sentymentalnej sceny, którą tu panu właśnie skreśliłem, porządkując trochę bezładne jej opowiadanie. *Jy perdais mon latin!* Władysław zrywający dobrowolnie ze swoją szklannością. Władysław decydujący się bez przymusu na krok tak stanowczy, Władysław

biorący nagle rozbrat ze swemi mrzonkami, i składający serce, imię swoje i ewentualne wawrzyny u stóp panny Klementyny, wszystko to wydawało mi się bajką z Tysiąca i jednej nocy! A jednak trudno mi było nie wierzyć tej bajce słuchając opowiadania cioci Pstrzykalskiej, które Klimcia ilustrowała co chwila nowemi, a sytuacyą charakteryzującemi komentarzami. *Vous concevez mon cher,* że przysłuchując się tym arabskim awanturom, kładłem pewną ich część na rachunek żywej fantazyi zakochanej panny Klementyny, drugą zaś na rachunek wrażliwości nieoszacowanej cioci; pomimo to pozostawało zawsze jeszcze dosyć, ażeby mi uczynić postępowanie Władysława niepojętą, nierozwiązalną, sfinksową zagadką.

Pożegnawszy więc ciocię i kuzynkę, pobiegłem do Władysława, aby go wybadać w tej mierze, przechodząc jednakże koło mego pomieszkania, spostrzegłem go przed sobą, idącego ze spuszczoną głową krokiem szybkim a trwożliwym, jak gdyby się obawiał pogoni.

— Władysławie — zawołałem uderzając go z lekka po ramieniu.

Szklanny człowiek spojrzał na mnie przerażonym wzrokiem. Jedno spojrzenie na zakłopotany wyraz jego twarzy wyjawiło mi wszystko to czego mi wytłumaczyć nie mogły komentarze panny Klementyny.

— Ach to ty? — zawołał skwapliwie ściskając mi obie ręce. Szukałem cię właśnie; byłem u ciebie dwa razy! Mam do ciebie pilny interes...

— Służę ci mój drogi — rzekłem uprzejmie, tłumiąc w sobie śmiech, który we mnie budziło jego zakłopotanie...

— O, nie! Nie tutaj! — odparł oglądając się trwożliwie. — To sekret, wielki sekret!...

— Cóż takiego? Może spisek? — zawołałem śmiejąc się. — Jeżeli tak to ostrzegam cię; ostrożnie ze szkłem!...

— Nie mój drogi! To rzecz osobista! —zapewniał, poglądając na mnie błagająco.

— Jeżeli tak, to chodźmy — rzekłem z namaszczeniem. I wprowadziłem go do mego saloniku.

Szklanny człowiek usiadł w najciemniejszym kącie pokoju, zakrył oczy rękami, westchnął i rzekł:

— Nie mam odwagi!...

— Możeś ją zgubił na schodach — zawołałem usłużnie. — Poczekaj! poszlę służącego, aby ją odszukał.

— Jakiś ty nielitościwy! Śmiejesz się, wtedy kiedy ja ze smutku umieram! — zadeklamował patetycznie.

— Cha cha, cha! *Est-il farceur celui-là?* O ile ja wiem, jesteś dopiero kandydatem do małżeństwa, a nie do ostatniego pomazania.

— Jakto? Więc już wiesz?. .

— Naturalnie że wiem o wszystkiem; wracam właśnie od cioci Pstrzykalskiej,..

— Cóż tam mówiono? powiedz, powiedz!...

— Mówiono, że przez dwie podzin rozmawiałeś z Klimcią o miłości.

— O poezyi mój drogi, o poezyi...

— O miłości czy o poezyi, to wszystko jedno! Faktem jest żeś się przed nią uskarżał, iż jesteś nieszczęśliwym, że ciebie nikt nie kocha, a że takie zwierzenia w danych okolicznościach, i przy odpowiedniem towarzyszeniu westchnień i spojrzeń, których nie szczędziłeś, uważać można za deklaracyą...

— Ależ mój kochany, ja nie miałem zamiaru! Słowo honoru ci daję żem nie miał zamiaru!...

— Jakto, nie miałeś zamiaru?... A któż ci kazał deklamować Klimci jakieś wiersze, zwierzać się przed nią z twoich sercowych tajemnic, wzdychać, zawracać oczy, udawać nieszczęśliwego, słowem robić wszystko ażeby ją zmusić do współczucia? Przyznasz mój kochany, że szturmując w sposób taki przez dwie godziny do serca tej kamiennej Dvanny, co stoi nad studnią w rynku, możnaby ją zmiękczyć ostatecznie, a cóż dopiero Klimci, która jak wiesz ma dla ciebie wiele sympatyi.

— Ależ mój drogi, ja nie mam najmniejszego powołania do małżeńskiego stanu —wołał Władysław chodząc wielkiemi krokami po pokoju. — Ja pannę Klementynę poważam; mam dla niej wiele życzliwości, a nawet przyjaźni, lecz właśnie dlatego nie mogłbym być jej mężem.. Mój drogi, ja to czuję, że nie zdołałbym jej uszczęśliwić!... co tu robić? Mój Boże! Mój Boże!

— Podzielam najzupełniej twoje zdanie, i dlatego to powinieneś—dziś już za poźno—ale jutro rano pójść do cioci Pstrzykalskiej i oświadczyć jej otwarcie i szczerze wszystko to, co mi tu powiedziałeś..

— Ja się na to nigdy, nigdy nie odważę!...

— Dzieckiem jesteś mój drogi! Musisz to zrobić, *car il y va de ton honneur!* Wprowadziwszy nierozważnie w błąd te panie, powinieneś je z błędu wyprowadzić, jak najśpieszniej...

—-Ach, gdyby tu była ciocia Ptaszyńska...

— Dla czego?... Właśnie że to szczęście, iż pani Ptaszyńska bawi teraz na Wołyniu, bo jestem przekonany, żebyś jej w tej sprawie użył za pośredniczkę..

— Niezawodnie!...

— Otóż krok taki byłby nadzwyczaj niedelikatnym. To co zaszło pomiędzy tobą a Klimcią jest waszą tajemnicą, i nie godzi się mięszać w to osób trzecich... Zresztą prędzej, czy później zejdziesz się z Klimcią gdzieś w świecie. Czyż nie lepiej przełamać jak najśpieszniej lody, które po tem co zaszło pomiędzy wami, czas jakiś istnieć muszą? Będzie tam z razu może trochę płaczu, ale ostatecznie znajdzie otwartość twoja i delikatność zasłużone uznanie...

— Nie, nie! Ja się na to nigdy nie odważę! Idź ty mój drogi. Ty znasz moje uczucia. Powiedz że nie miałem wcale zamiaru, że mi żal tego co zaszło — wołał Władysław łkając prawie od wzruszenia.

— Niezawodnie, że pójdę i będę się starał być twoim adwokatem. Chodzi mi tu bowiem także o ciocię i o kuzynkę, lecz wierzaj mi że załatwienie tej sprawy byłoby właściwie twoją powinnością.

— O jakżeż ci się za to odwdzięczę— wołał Władysław ściskając mi ze łzami w oczach obie ręce. Przyjacielu mój drogi, tyś moim zbawcą! moim aniołem stróżem!

— Jak mi się odwdzięczysz? Oto idąc spać, przyznam ci się bowiem że jestem dziś bardzo zmęczonym i spiącym, a i tobieby spocząć potrzeba! — odparłem trochę zgryźliwie, *car je vous avouerai,* że mnie w tej chwili irytowała słabość charakteru tego Szklannego człowieka.

Nazajutrz rano, właśnie gdy się ubierałem, wszedł do mnie Władysław w podróżnym stroju. Twarz jego nosiła ślady bezsennie spędzonej nocy.

— Przyszedłem cię pożegnać mój drogi — zawołał ściskając mi ręce, i uśmiechając się smutnie.

— Jakto, więc wyjeżdżasz?...

— Wyjeżdżam do Algieru...

— Do Algieru? A to po co?

— Zginąć!

Żal mi się zrobiło biedaka, począłem mu więc perswadować, przedstawiając mu szaleństwo jego zamiaru, ale wszelkie moje perswazye nie odniosły żadnego skutku. Tego samego dnia w południe wyjechał Władysław dyliżansem do Krakowa. (C. d. n.)

O ARCHITEKTURZE

ODCZYT

PROF. JULIANA ZACHARIEWICZA.

(Ciąg dalszy.)

Jak już wspomnieliśmy, Grecy w świątyniach swoich nic innego nie zakładali jak celę, obszar, dla przechowania bóstwa. Otoczyli ten przybytek szeregiem lub wieńcem rozprzestrzeniających obszar kolumn i dali tem samem przykład, dla wyrazu szczytnej myśli w układzie budowy w sposób taki, który po wieczne czasy pozostanie jako ideał sztuki.

Budowę widzimy na wzniesieniu, na szerokiej podstawie. Z tej silnej podstawy wznoszą się mury celi w czworoboku założone. Szeregiem przed wejściem, lub na około całej celi, wznoszą się kolumny tworząc obwodnicę, tak zwany peripteros.

Kolumny dźwigają za pośrednictwem kapiteli poziome kamienne belkowanie, na którem tak jak i na murach celi, belki stropu kamienne, poziomo ułożone spoczywają. Próżnie między temi belkami pozostałe, nakryte są płytami marmurowemi, żłobionemi w kasetony.

Tak układali Grecy poziomy kamienny strop. Światło wpadało do wnętrza celi w najstarszych budowlach dorychich, jak to Homer opisuje i jakto z różnych malowideł na wazach i urnach wyobrazić sobie można, pod główny gzymsem pomiędzy tryglifami, to jest, przez metopy.

Później zakrywano te metopy i światło dzienne wpadało do wnętrza tylko otwartemi drzwiami.

W świątyniach na większy rozmiar założonych, pozostawiali w dachu otwór, dla wprowadzenia dostatecznego światła do wnętrza.

Stosownie do pory dnia w której libacyą odprawiano, świątynia albo do wschodu, albo do zachodu drzwiami zwróconą była. A ponieważ bogom przynosili rano ofiarę, więc poświęcone im świątynie drzwi do wschodu zwrócone miały, podczas kiedy w świątyniach bohaterom półbożkom poświęconych drzwi do zachodu zakładali, albowiem ten kult, jako pośmiertny odbywał się wieczorem.

*

Świątynia, jako przybytek ofiary, przedstawia się nam zwykle w rozmiarach niewielkich. Nie służy ona jak dzisiejsze kościoły do wmieszczenia wielkiej ilości pobożnych. Przeciwnie w jej celi mieści się tylko posąg bóstwa. ołtarz i kapłani sprawujący libacye. W ofierze udział biorąca gmina stoi u podnóża świątyni.

W wielkości rozmiarów, nie leży też wielkość tej sztuki, przeciwnie polega tylko na artystycznie przeprowadzonej charakterystyce pojedynczych części, również jak i na subtelności wykonania i idealnem harmonijnem zestawieniu tych części do całości. Jej kolumny i gzymsy odbijają się od ciemnego błękitu południowego nieba oblane złotemi promieniami słonecznego światła.

Pomiędzy szeregiem jaśniejących kolumn, przenika pod złocistym stropem nasz wzrok przez otwarte podwoje do wnętrza purpurowem blaskiem oblanego, przybytku uosobionego Boga.

Tak przedstawia się nam świątynia grecka.

Społeczeństwo greckie żyło życiem publicznem, świątynie i budowle publiczne są własnością, chlubą całego narodu, dla tego to świątynie budowali używając wszelkich środków, z wielkim przepychem, kiedy równocześnie prywatne mieszkanie zachowując tradycyjne założenie domu z epoki Pelazgów, skromnie sobie stawiają.

U Helenów rozróżniamy 3 style, mianowicie: dorycki, joński i koryncki.

Pierwszy poważny. a ztąd męzkim nazwany jest też najstarszy; styl dorycki obierają przeważnie do budowli na wyżynach stawianych, dla silnych imponujących kształtów. Smuklejsza szlachetniejsza kolumna jońska, z bogatą głowicą i belkowaniem, jako lekka żeńską nazwana, uzmysławia styl joński używany dla tych lekkich kształtów, przeważnie na nizinie, gdzie oko łatwiej dostrzedz może subtelnie rzeźbionej charakterystyki.

Styl koryncki odróżnia się od wspomnianego, bogaciej ukształconą głowicą i jeszcze smuklejszym trzonem kolumny. Za czasów Periklesa, w piątem stuleciu przed Chrystusem, dochodzi styl dorycki do szczytu swego rozwoju w Partenonie.

Styl joński przedstawia się nam w najnadobniejszych kształtach w Budowie Erechteonu. W uroczym pomniku Lizykratesa podziwiamy styl koryncki.

Samodzielność Grecyi upada w 4 wieku przed erą chrześcijańską. Opanowali ją o wiele niżej w kulturze stojący Macedończycy.

Budowle Aleksandra Wielkiego, z których tylko ślady w historyi pozostały, dały wyraz temu przekształceniu społecznemu.

Przepych i zbytek oryentalny, panujący na dworze Aleksandra i następców jego, wżył się w naród i został przeniesiony do greckich kolonii do Italii.

W drugiem stuleciu przed narodzeniem Chrystusa ujarzmili Rzymianie Greków.

Rzymianie dalecy od tego wykształcenia artystycznego, jakie znaleźli w Grecyi, ujęci urokiem i w poczuciu piękna, przenieśli ile możności zdobyte dzieła sztuki do domu. Powróciwszy do Rzymu, budują przez Greków świątynie swoje i budynki publiczne w duchu greckim.

Na italskiej ziemi, pod odmiennymi warunkami i wpływem architektury z czasów etruskich następuje dalszy rozwój stylu greckiego.

Zasadniczo wpływa na przeobrażenie kształtów i rozkład budowy, nietylko sztuka etruska, ale także zmysł monumentalny Rzymian, którym świątynia musiała imponować nietylko swoim układem harmonijnym ale i majestatycznemi rozmiarami.

Etruska kolumna, odmiennie od greckiego założony przedsionek, na szeroką skalę użyty porządek koryncki, wreszcie wprowadzenie w architekturę łuków, wzniesionych po nad otworami, łączących się w rytmicznym układzie z kolumną i jej poziomem belkowaniem; oto są podstawy strukcyjne, do dalszego rozwoju.

Wprowadzenie sklepień do architektury, poduje sposobność do zadosyć uczynienia w odpowiedni sposób tym zadaniem. których wymagano od architektury, przy końcu panowania rzeczypospolitej rzymskiej.

Mianowicie powstają te publiczne budowle w olbrzymich rozmiarach, w których imponujące mury, ożywione kolumnami, układają architekci na zasadach zupełnie innych niż poprzednich i z innych materyałów.

Kiedy w stylu greckim kolumna jest podstawą budowy, służy ona tutaj w stylu rzymskim często tylko do dekoracyi, do ożywienia mas ciążących, przedstawiając nam organizm układu odmienny od rzeczywistego.

Wprowadzona na wielką skalę do architektury sztuka sklepiania, użycie innego materyału, w połączeniu z wydoskonalonym zmysłem dekoracyjnym Rzymian, spowodowały nowy styl, który nowym zadaniom czasu goduie mógł odpowiedzieć.

Następują czasy Augustowskie, epoka rozkwitu sztuki rzymskiej; czasy Cezarów, epoka świetności i upadku tej sztuki.

Rzym, który światem owładnął, zdobi się budynkami na olbrzymi rozmiar w majestatycznej wspaniałości wzniesionymi, które tak pojęte i wykonane jedynie odpowiedzieć mogły wymaganiom tego wielkiego ludu. (C. d. n.)

ZE WSPOMNIEŃ

J. J. Kraszewskiego.

III.

Romanów.

Obok skromnego domku rodzicielskiego w Dołhem, stoi w pierwszych moich wrażeniach dziecinnych szumiący prastaremi jodłami swojemi Romanow, majętność dziada i babki, później rodziców moich. Wśród lasów nad-bużańskich, w głębokiem, zapadłem Podlasiu, między dawnemi dobrami Sapiehów i Radziwiłłów, Kodniem, Sławatyczami, Włodawą, leży ta majętność, niegdy Sapieżyńska, w której zamierzano fundować rezydencyą pańską, czego dowodem był wspaniały i ogromny ogród z kilkusetletniemi świerkami i grabowemi szpalerami. Zaczęli Sapiehowie stawiać nawet coś nakształt pałacu, ale skończyło się na lochach tylko i fundamentach, na których dziad p. Błażej Malski, dom wzniósł murowany. Tęskny, płaski, poważny krajobraz otacza dwór, do którego wiedzie z jednej strony długa przez lasy przebita tryba. Lasy stare, odwieczne, opasują zewsząd siedzibę w przepysznych drzewach ukrytą, na których niezliczone gnieżdżą się bociany i czaple. Czuć było w Romanowie jeszcze za moich czasów zaledwie zdobytą na puszczy pierwotną nowinę. Cóż to za cudowne gąszcze były w Kraszczynie, jakie sosny na drodze do Chmielity i Sosnówki! Sam ogród, odjąwszy mu szpalery i ulicę świerkową, był niemal puszczą, do której z lasów różne stworzenia zaglądały. Później obok dworu stawały: piękna kaplica, oranżerya, łazienki i wszystko co go ozdobiło. Dziad lubił bardzo ogród, drzewa, owoce i wielce się niemi zajmował. Jak zapamiętam siebie na świecie, widzę się w Romanowie, wychowańcem prababki p. Konstancyi z Morochowskich Nowomiejskiej, żony niegdyś jednego z synów ś. p. Ludwiki z Dłuskich Nowomiejskiej, której tragiczną historyą wspomniałem.

Prababka, którą nazywano „babką białą“, gdyż się najczęściej w suknie białe ubierała, — była moją pierwszą nauczycielką i drugą matką. W jej pokoju spędzałem dnie całe, łóżeczko moje tam stało, a na posadzce ustawiały się ogródki z sosnowych gałązek i lalek porcelanowych. Wszystkie swe prawnuki wychowywała tak z kolei. Była to postać prześliczna dawnej polskiej niewiasty, niezmiernie czynnej, zawsze z uśmiechem na ustach, uprzejmej, uczynnej, zajmującej się żywo wszystkiem i wszystkiemi, potrosze gospodarującej w Chmielicie, wychowującej i wnuki i sieroty, zaglądającej do ogrodu, przyozdabiającej kaplicę, czynnej we wszystkich stosunkach familijnych. Zmarła mając lat przeszło dziewięćdziesiąt, na twarzy zachowawszy ślady dawnej piękności w uśmiechu pełnym słodyczy... O ile sobie przypominam, wychowywała się razem z panną Fleming, późniejszą księżną Czartoryską. Wyszedłszy za p. Nowomiejskiego, który znaczne dobra dzierżawił i na nich milionowy zrobił majątek, po zgonie jego osiadła przy jednej z córek i tu dokonała żywota. Nie wiem przez wiele lat pod łóżkiem prababki stało pudło z habitem Św. Franciszka, w którym się jako tercyarka zakonu pochować kazała. Wszystko do niego było w gotowości, bielizna, świece, pieniądze, nawet podarki dla gromady, która iść miała za pogrzebem. Pamiętam, gdy przewietrzano co roku te przygotowania, na które z uśmiechem spokojnym patrzała prababka, jedną ręką w bok się ująwszy, jak to miała we zwyczaju. Pamięć miała doskonałą, dowcip i wesołość nieprzebraną, dobroć niewyczerpaną, powagę przy tem wielką. Lubiła się poruszać, nieustannie musiała być czynną, pamiętam ją nawet samą powożącą się wózeczkiem, (do którego zaprzęgano powolną Jaroszyńską, klacz gniadą, od much odzianą w kapę) i przejeżdżającą się do Chmielity, gdzie na nabiał i drób sama naglądała. Jedną z zasad praktycznie przez babkę mi wszczepionych, które mi się najmocniej wbiły w pamięć, była: trzba za złe dobrem płacić. Widzę się jeszcze w zielonej alepinowej sukience, po dopełnieniu jakiejś zbrodni w ogrodzie, zapłakanego i prababkę, która mocno mnie zgromiwszy, podała mi gruszkę suszoną, dodając do niej: trzeba dobrem za złe płacić. Jakim sposobem tak mi się to w pamięć wrazić mogło, gdy tyle innych rzeczy ważniejszych się zapomniało? To tajemnica prababki.

Dom pp. Malskich cały żywo się zajmował tem co się na świecie działo, pisało, obiecywało, dokonywało. Musiało to na umyśle dziecięcym czynić wrażenie. Wieczorem gdy p. Błażej Malski po wielkiej sali się przechadzał, babka czytywała głośno. Książek w domu było pełno. Wuj, ciotki, babka Malska lubiła literaturę. Wiktor Malski był artystą, malował i sztukę kochał.

Dziad i babka często mawiali o dawnych czasach. Przypominam sobie, jak pani Malska opisywała mi podskarbiego Tyzenhauza, który po sądzie. jaki zapadł na niego, wracając z Grodna, u

pp. Nowomiejskich nocował, i w zielonem aksamitem pokrytem futerku, smutny i milczący stał przy piecu. Babka z naiwnością dziecięcą spytała go nawet, dlaczego był taki smutny i za całą odpowiedź otrzymała pogłaskanie po głowie. Pamiętała także na balu jakimś w Grodnie panią jenerałową z Radziwiłłów Morawską, w mundurze jeneralskim ze szlifą, i białej kaźmirkowej spodnicy, mocno zażywającą tabakę, przesunął się przed jej oczyma później sławny Biskup Warmiński, jako *cadet de famille*, dosyć skromnie dworem jakący na trybunał, na który był wybrany deputatem duchownym.

Mnóstwo podobnych wspomnień zachowało się z owych czasów. Dziadek, który spisywał wszystkie okolicznościowe wiersze, listy, mowy, dawnym obyczajem (książka ta po nim mnie została), pamiętam łzy miał w oczach, gdy mu babka owę sławną mowę abdykacyjną Jana-Kaźmirza czytała. Nie jeden raz ją słyszałem wieczorem powtarzaną i był to pierwszy dokument historyczny z którym zapoznałem się wprzódy niż z dziejami. Utkwiły we mnie na zawsze przepowiednie w nim zawarte, które dziadowi łzy z oczów wyciskały. P. Malski mówił mało, ale czuł mocno.

Wieczorami, przy świecach z umbrelką zasiadała zwykle babka, z pończochą w ręku do czytania głośnego, dziadek się albo przechadzał po cichu, stając niekiedy, lub na kanapie podparty słuchał. Czytywano nowe a gdy tych brakło i stare rzeczy.

Sąsiedztwo Romanowa, pomimo tak na pozór samotnej okolicy, było dosyć ożywione i liczne, Szlubowscy, Jasińscy, Borkowscy, a dalej Masłowscy, Mańkowscy (krewni prababki), Koryccy i wiele innych domów szlacheckich. Nie pamiętam już, kto ze starej szlachty, co się kontuszowo jeszcze nosiła, w paradnym stroju przybył na obiad do dziadka, bawił aż pod wieczór. Gdy wyjechał trybą ku Sosnówce, wyszedłem i ja na przechadzkę w tę samę stronę. Jakież było zdumienie moje, gdym pod lasem znalazł owego paradnego gościa siedzącego na suchym rowie i strój kosztowny *sub Jove*, zmieniającego na płócienny kitel i kozłowe buty. Dało mi to pierwszą oszczędności naukę. W ten sposób suknie dziadowskie przechodziły na wnuków.

Prawie zawsze dla nabożeństwa w kaplicy, bawił reformat w Romanowie, często zjeżdżali kwestarze. Za jednego kapelana, z którym się jakoś zuchwale i nieprzyzwoicie znalazłem, oskarżony, dostałem od dziada w skórę, abym na przyszłość kapłanów szanował. O tem *pro memoria* tem mocniej przypominam sobie, gdyż był to *casus* pierwszy i ostatni w życiu. W ogóle reformaci byli ludzie dobrego humoru i prostoduszni.

Na obiad i wieczerzę uderzano w bęben i schodzili się naówczas wszyscy domownicy do stołu. Prababka jadała u siebie, bo bardzo często pościła. Oficyaliści dworscy, młodszy Piwoni i starszy rachmistrz Więckiewicz, zapalony myśliwy, wirtuoz na skrzypcach, zjawiali się także. Więckiewicz o ile u stołu bywał milczący, stanąwszy przed gankiem niewyczerpane miał do opowiadania szczegóły z lat dawnych, z 1812 roku, gdy przed kozakami do Kraszczyna uchodził. Pamiętał on jeszcze bodaj dziadowską dzierżawę Bobrujskiego Starostwa. Spluwając często, wspomagając się wstawianem ciągle „Mości dobrodzieju“, gładząc peruczkę, Więckiewicz z zapałem po stokroć jedno powtarzał. A choć już trzymał klucz od swojej izdebki w ręku, opatrzony dla bezpieczeństwa drewnianą kłótką, choć mu jego wyżeł dopominał się powrotu do penatów, raz począwszy relacyą, nie łatwo kończył.

Wieczorem, jeśli na kaczki nie poszedł, suwając nogami po niewielkiej izdebce, godzinami grał na skrzypcach, które stały bardzo starannie zamknięte w okutem pudle. Poczciwy stary dożył tu tak końca, podupadłszy mocno na zdrowiu. Zrósł się z domem i rodziną.

Przypominam sobie, ale mglisto bardzo, odwiedziny u pp. Borkowskich — J. U. Niemcewicza, na którego przyjęcie wielce się przygotowywano. Bawił jakoś krótko, ale sławny naówczas autor Powrotu Posła i Spiewów poruszył sąsiedztwo całe. Mówiono długo i dużo o nim.

Widywałem, jeśli się nie mylę, u Szlubowskich młodego naówczas, zaledwie zaczynającego zawód swój, jeszcze nieśmiało, Stefana Witwickiego, który tu był jakiś czas nauczycielem domowym. Przypominam go jako bardzo pięknego i miłego mężczyznę. Okolicy nie zbywało na wspomnieniach i miejscach zajmujących, nie licząc Białej, o trzy mile był Kodeń ze swym kościołem, Infułatem, starą cerkiewką zamkową, opustoszałą rezydencyą pani ex wojewodzicowej Mścisławskiej, Różanka Pacowska, Włodawa, Wisznica i Dołholiska, w której Kościuszko po powrocie z Ameryki bawił aż do wstąpienia w służbę czynną. Tu on własnemi rękami wzniósł rodzaj pomnika murowanego, i w nim swoje pamiętniki złożył które zaginęły. W kościółku w Dołholisce na obrazie cudownym jako votum, wisiał order Cyncynata, ofiarowany przez niego. Po drodze z Romanowa do Dołhego przejeżdżało się około Siechnowicz, starego gniazda Kościuszków, z drewnianą cerkiewką na piasku, staremi jodłami otoczoną. Komorę i granicę przebywało się w Brześciu Litewskim. Na przeciw niego w Terespolu, alias Błotkowie, rezydował sławny na całą okolicę doktór Müller, do którego się zdala zjeżdżali pacyenci. Byłem tam i ja raz dziecięciem na kuracyi. Straśnie dawne, dawne czasy.

Chociaż to Podlasie było tak oddalone od wielkich gościńców, od świata, od ruchu i ludzi, że nawet czasu wojen rzadko się tu wojska jakie pokazywały, w okolicy Romanowa, w Romanowie samym życia było wiele. Listy, dzienniki, książki, czasem ludzie zdaleka je przynosili. Wuj Wiktor Malski, niegdyś oficer artyleryi, człowiek bardzo wykształcony, dobry rysownik, malarz, duszą artysta, ale zarazem zapalony myśliwy, czytywał wiele i zajmował się literaturą. Z p. Janem Szlubowskim, także znawcą i miłośnikiem sztuki, odbyli oni podróż do Włoch i do Rzymu i Neapolu czterokonną bryczką polską się dostali. Gdy wieczorem zbliżali się do starej Partenopy, a na horyzoncie ukazał się z ognistym czubkiem Wezuwiusz, siedzącego na koźle podlasiaka zapytali podróżni, jak mu się też zdawało, co by to być mogło? Nie zmieszany wcale chłopak odpowiedział rezolutnie: — A co ma być? węgle dla kowala palą.

Jak dziadka, babkę, tak wuja interesowało wszystko co się w kraju i za granicą działo, czytano chciwie, rozprawiano wiele. Co nie mogło się dostać drukowanem, przepisywano. Pamiętam, że pierwsze poezye Mickiewicza, które obudzały nadzwyczajne zajęcie, wszystkie chodziły starym obyczajem, z rąk do rąk, w rękopismach. Walter Skott, Byron, Shakespeare leżeli u wuja na stoliku. Odradzająca się na nowo literatura francuzka, książki włoskie przywiezione z podróży czytano i tłumaczono. P. Jan Szlubowski w Opolu zgromadził dość piękny zbiór obrazów i rzeźb zdobytych także we włoskiej peregrynacyi. Wszystko to pierwszemi wrażeniami działało na umysł dziecięcy. Wspomnienia tych czasów tak jeszcze żywe pozostały!

Prababka oprócz książki do nabożeństwa, czytała mało, przedewszystkiem była to niewiasta czynna, potrzebująca zajęcia, szukająca go prawie niespokojnie, dla tego brała na wychowanie wnuki, prawnuki, a w końcu i sieroty, gospodarowała potroszę, a gdy nadeszły święta wielkanocne prezydowała sama przy pieczywie święconego. Babka za to po całych dniach czytywała albo robiła w krośnach, reumatyzm nie dawał się jej wiele poruszać. Dziad gospodarował i miał obowiązki obywatelskie, często też wyjeżdżać musiał. W oficynach u wuja panowały książki, ołówki, farby i myśliwskie przybory. Nie było rodzaju polowania, któregoby nie próbowano, bo i z ptakamiśmy jeździli starodawnym sposobem, a kilku sokołów i kobusów wychowano umyślnie do tego. Lasy Romanowskie obfitowały we wszelkiego rodzaju zwierza, okoliczne błota w ptastwa mnogość. Zawczasu nauczyłem się konno jeździć i z koniem sobie dawać rady, a dziś jedną z najdotkliwszych prywacyj jest może to, że wierzchowca mieć nie można. Ojcowska kara klacz pierwsza mnie ponosiła i trochę potłukła, niezliczoną potem ilość razy padało się, podnosiło i pędziło z niewymowną roskoszą — w pola i lasy!!

Balów i zabaw wrzawliwych nie pamiętam tu wcale, oprócz jednych imienin prababki, na które między innemi gośćmi przybył pierwszy murzyn, jakiego w życiu widziałem. Uczynił na mnie niepospolite wrażenie. Pamiętam, że jak innych gości przyjmowano go w salonie, i miał powierzchowność dobrze wychowanego człowieka.

Wszystkie dawne obyczaje zachowywały się tu święcie i wiernie, prababka była ich stróżem. W niej żyły tradycye wszelkie, które wspomnieniami popierała. Obchodzono doroczne uroczystości wedle form prastarych. W języku, którym mówiła prababka, zachowało się mnóstwo tych odcieni, akcentów, dodatków, które z mowy pisanej znikły. Chociaż rozumiała po francuzku, nigdy językiem tym nie mawiała i dlatego może mowa jej miała niewymowny wdzięk archaiczny, nie książkowy, ale żywy, z życia wyrosły. Odzywała się w niej rubaszność pewna, ale niewieścią skromnością powstrzymana i niemal wytworna.

Nieboszczyka pradziadka nie pamiętam wcale, wiem tylko o jego zgonie, o którym często opowiadano. W dosyć już późnym wieku będąc, p. Nowomiejski chorzał na podagrę i z krzesła się nie poruszał. W wigilią św. Wojciecha na imieniny jego, zjechali się zięciowie i wnuki. Wieczór upłynął bardzo wesoło. Staruszek kazał się z krzesłem przytoczyć do stołu, mówił wiele, wypił pół kieliszka wina, naśmiał się i nażartował i odprowadzony przez wszystkich spać się położył.

Nazajutrz, w dzień patrona św. Wojciecha, gdy długo nie wstawał, sądzono, że zmęczony potrzebował spoczynku, około południa chciano go zbudzić. Znaleziono w łóżku uśpionym na wieki i dzień wesela stał się dniem żałoby.

POWSTANIE POLSKIE
nad
BAJKAŁEM.

Z pamiętników naocznego świadka Z. O.

(Ciąg dalszy.)

Lud prosty moskiewski, w którego wpoić chciano pojęcie dzikości i okrucieństwa polskiego

przekonywać się zwolna zaczął o najzupełniejszem oszczerstwie urzędowo rozsiewanem, a patrząc odtąd własnemi oczami, na ciągłe pastwienie się władzy nad więźniami, zaczął się chwiać w swych przekonaniach, do tego stopnia, że zabajkalcy do niedawnej chwili uważani jako potwory, otrząsali się w wyobraźni moskiewskiej, z tych form przerażających, stając się w końcu przedmiotem politowań, jako nieszczęśliwi, którym rząd wydarł wszystko, i jeszcze w niewoli, znęcał się nad niemi gnębiąc i fizycznie i moralnie.

Tak rozumujących można było i na ulicy posłyszeć. Wyżsi zaś stanowiskiem Moskale, zachowywali się ciągle biernie, jedni tylko czynownicy pozostali wytrwale w roli prześladowców.

Po paru tygodniach takiego przetrawiania się opinii, nadeszły z Petersburga podziękowania od cara, dla tych, którzy najgłówniej przyczynili się do zgniecenia buntu. Rozumie się, że Petersburg musiał odbierać dziwolągi w raportach urzędowych, przez które chciano dowieść, że tylko energii i niesłychanej czujności udało się stłumić pożar mogący przybrać niebezpieczne rozmiary. Naczelnik generalnego sztabu generał Kukiel, otrzymał gwiazdę za energiczne i szybkie rozporządzenie wojskami i zebranie opołczenia. Kupiec Chaminoff właściciel statków parowych, udarowany został krzyżem, za oddanie swych statków na usługi rządu. Major Rick awansował na pułkownika za *„otliczie“* inni oficerowie posunięci byli na wyższe stopnie a *niżnym czynam* jako to: sołdatom, kozactwu i buryatom i każdemu kto tylko przyłożył się czynnie do uśmierzenia buntu Polaków osobnym manifestem wyraził car swoje najwyższe zadowolenie i podziękę.

Ogólny popłoch ustał. Lud dotychczas idący ręka w rękę z rządem, odsunął się na ubocze, śledząc teraz bezstronniej dalsze postępowanie władzy. Stronienie ludu od Polaków i pewne niedowierzanie ustało, przemieniać się nawet zaczęło w pewne poufałe stosunki. Najwybitniej zaś czuć się to dawało po wsiach, w których zamieszkiwali i Moskale i buryaci. Ci ostatni przedewszystkiem widząc w zbliżeniu się do Polaków korzyść a nadto będąc traktowanymi przez nich jako bracia, bez wyzyskiwań i oszustw doznawanych od Moskali stawali się prawdziwie życzliwymi. Jednem słowem Polacy wśród najnieszczęśliwszych warunków, swoim charakterem, prowadzeniem się i wpływami, zdobywali sobie grunt przyjazny, roznosząc przytem bez wszelkich innych agitacyi, pomiędzy ciemne warstwy ludu sybirskiego, zarody prawdziwego światła, pojęcia wolności i nienawiści wszystkiego tego, co się poczuciu ludzkości sprzeciwiało. Majestat *cara białego* w Petersburgu, jak go tam nazywają z każdą chwilą tracił na swej świetności i blasku i przezierać poczęto, że ta cała jego potęga, jest o tyle tylko wielką o ile ją głupota i ciemnota ludu wspiera i podtrzymuje i że ojcowskie łaski carów o tyle tylko są łaskami o ile je nabyć można płaszczeniem się, ślepem posłuszeństwem i łapówką ofiarowaną przedstawicielom wielkiego cara.

W Irkucku tymczasem przygotowano się do osądzenia więźniów zabajkalskich. Nic łatwiejszego nie było dla rządu jak przeprowadzić te sądy w cztery oczy i przystąpić do wyroków. Ale bojaźń, aby takiem postąpieniem nie wywołać u swoich pozoru samowoli i niesprawiedliwości i przypuszczenie, że Polacy powtórnie przed sądem postawieni, stracą całą energią i zastraszeni karami poniżą się w obec swych oprawców żebrząc litości i przebaczenia, spowodowały Moskali do ogłoszenia sądów *publicznych* otwierając wejście po raz pierwszy do sal trybunałów każdemu, kto chciał na własne uszy przekonać się o zbrodniczych zamachach Polaków, o sumiennem i ludzkiem postępowaniu władz moskiewskich, jak również pragnąc tą drogą umocnić i utrwalić mieszkańców Syberyi w tem rozwściekleniu, jakie w początkach objawiali.

Sądy publiczne w sprawie zabajkalskiej, były następstwem nowego wprowadzenia tychże do prawodawstwa moskiewskiego. W ten sposób był nawet sądzony w Petersburgu Karakazów carobójca, w którego obronie przemawiał publicznie nasz rodak Dr. Spasowicz.

Myliłby się jednakże każdy ktoby myślał, że sądy publiczne w Irkucku przeprowadzały całość sprawy od jej początku do końca. Przystąpiono do nich z zupełnem wykończeniem i zaokrągleniem sprawy zgodnie z duchem moskiewskim, który w całem prawodawstwie i dawniejszych lub nowych ustawach posiada literę prawa dla świata, aby mu pokazać postęp, a w gruncie rzeczy sam rządzi się samowolą i duchem intencyi tego olbrzymiego mocarstwa, mającego w swych usługach, najbezczelniejsze i najpodlejsze narzędzia carskiej idei panującej.

Przed przystąpieniem do sądów ogłosili Moskale że w obec nowych reform, będzie wolno Polakom uniewinnić się, bronić, a nawet że zostaną wyznaczeni obrońcy z pośród Moskali. Więźniowie Polscy jednakże odrzucili jednogłośnie wszelkie obrony Moskali, chcieli się sami tłumaczyć, będąc przekonanymi, że podobne obrony, niemówiąc już o pogorszeniu ich położenia przemieniłyby najniezawodniej istotę rzeczy, przekręceniem faktów, lub ich delikatnem podprowadzeniem pod to czego sobie Moskale życzyli tj. oplwania i zplugawienia całej sprawy zabajkalskiej, i zrzucenia winy z siebie.

Okrągłe dwa miesiące ciągniono śledztwo z więźniami w Irkucku, poczem wydano poszczególne wyroki. Sprawa więc była skończoną, o tem każdy wiedział i dla tego Moskale mieszkańcy głośno wołali, że podobne sądy, gdy już wyroki podpisywano, są zbłaźnieniem Moskwy, że jest to istna *kukielnaja kamedya*. W każdym razie zaostrzyła się ciekawość mieszkańców; posłyszeć Polaków przemawiających w przeddzień swej śmierci było rzeczą mocno zajmującą. Budynek w którym się to wszystko odbywać miało, oblężony był tysiącami mieszkańców różnej klasy i różnej wartości. Wszystkie damy Irkuckie brały w nich udział z całą cierpliwością przesiadując w sali od 8 godziny rano aż do zamknięcia posiedzenia.

Ze strony rządu wyznaczony był prokuratorem Milutin sławny polakożerca, zresztą zasiedli ci sami sędziowie którzy już w komissyi wojennej (polowej) wyroki przygotowali.

Pierwszego naturalnie wprowadzono Gustawa Szaramowicza. Był on jeszcze chorym z niewyleczonych ran, wynędzniały i prawie nie mogący utrzymać się na nogach, w oczach jego błyszczał ogień, odbijający jeszcze piękniej od jego bladej i zeschłej twarzy. W pierwszej chwili ściągnął na siebie sympatyczną uwagę a publiczność z całem wytężeniem, słuchała tłumaczeń jego aby żadnego słówka nie uronić.

Na wniesione zaskarżenie gdy przewodniczący zadał pytanie co było powodem*) wybuchu i czy istotnie Szaramowicz był naczelnikiem a w końcu czy innych celów nad ucieczkę z Syberyi powstanie nie miało, odpowiedział Szaramowicz:

„Aby powody naszego ruchu poznać, dość wam panowie popatrzeć na własne czyny i postępowanie z tysiącami Polaków wysłanych tutaj w niewolę! Gdy samowola (proizwoł) wasza w doborze męczarni, przeszła granice wszelkiego ucisku, gdy sił zabrakło do ich zniesienia, trzeba było ostatnią rozpaczą odeprzeć te nieludzkie gwałty. Środek został użyty taki, jaki pod ręką mieć mogliśmy, odebraliśmy broń waszym żołnierzom aby nią utorować sobie drogę jeżeli już nie do wolności to przynajmniej do prędkiej śmierci“. Tu powstał z miejsca Szaramowicz i z całym ogniem powiedział „Lepiej zginąć niż pędzić takie życie bez jutra, bez przyszłości, pod waszą wyuzdaną swawolą i gwałtami!“ Na to prokurator Milutin przerywa mówiącemu, że to nie należy do rzeczy, że elokwencya tu niema miejsca, bo dobrze wiadomo o co Polakom chodziło i że też według innych danych kary orzeczone zostaną, „niech pan odpowiada ściśle na to o co jesteś pytanym“.

— „Jeżeli tak“ — powiada Szaramowicz “to pocóż chcecie abym mówił, przecież to co mówię, nie należy do jakiejś innej historyi, do powieści lub bajek, to ma związek z naszą sprawą, bo pytacie o powody, a jeżeli nie dajecie mówić, to poco pytać, gdy wiecie wszystko. Niech lepiej sąd przeczyta wyroki, które ma gotowe w kieszeni!“ Publiczność moskiewska tą rozmową podbudzona zaczęła wołać „niech mówi! niech mówi!“ Ale Szaramowicz zacisnął usta i milczał.

Wtedy odezwał się znów prokurator zapytując: „Czy pan byłeś istotnie naczelnikiem powstania?“

—„Tak jest, ja nim byłem, to moja sprawa i sobie przypisuję podburzenie moich nieszczęśliwych towarzyszów; wstydzić się tylko muszę za tę niedokończoną sprawę, inaczej bowiem okupioną by została nasza wolność!“

— „Pańskie zeznania“ mówi prokurator „jako też zeznania kolegów w śledczych protokołach są tego rodzaju, ze pana ostatecznie potępiają i apelacya do miłosierdzia najjaśniejszego pana, któremu ta sprawa do decyzyi przedstawioną będzie, może natrafić na pewne przeszkody, których panu nie należałoby stawiać samemu sobie.

— „Panie prokuratorze,chcesz pan mówić o ułaskawieniu carskiem? — ja go nie żądam i odrzucam — kara śmierci którą już naznaczyliście będzie dla mnie zasłużoną karą, za to, że nieudało mi się lepiej pokierować wybuchem“.

Zimną krwią i godnością, zjednał sobie Szaramowicz ogólnę sympatyą. Mówiono nawet, że śmiercią karanym nie będzie i ta pogłoska w najwyższych kołach obywatelstwa Irkuckiego, za pewną rzecz była uważaną. W tem jednakże kierowali się Irkuczanie własnemi zapatrywaniami, które zaczęły się różnić od poglądu sfer rządowych. Po przesłuchaniu Szaramowicza nastąpiły indagacye innych więźniów; a mianowicie Pankowskiego Władysława*) nieodstępnego towarzysza Szaramowicza. (Dok. nast.)

*) Treść zapytań, obrony więźniów itd. o ile można powtarzam z całą ścisłością. Szaramowicz odpowiadał po moskiewsku, jak również i inni, którzy dobrze znali ten język, niektórzy odpowiadali po polsku jak np. Popławski i w ogóle wszyscy z Polski Kongresowej.

*) Pankowski Władysław występował pierwej w znanej podówczas i głośnej sprawie zwanej „Kazańską“ ponieważ zaś szczegóły tejże są nazbyt obszerne, podamy je przeto w oddzielnym ustępie niniejszych pamiętników pod tytułem: *„Sprawa Kazańska.“*

Z DZIEJÓW UNII

przez
Juliana Bartoszewicza.

(Wyjątek z niedrukowanego dzieła.)

ROZDZIAŁ XX.

(*Dokończenie*).

Pierwszy ukaz synodu petersburgskiego do Polski wolnej od zakordonowania przysłany, bezpośrednio nie już do władyki, który rzeczywiście był poddanym moskiewskim, ale do monastyru, który nic o świętym synodzie nie mógł i powinien był niewiedzieć, był z r. 1780. Odtąd częste latają ukazy do monastyrów, do cerkwi, do popów. Rząd moskiewski, o czem Polska i jej rząd nic nie wie, dzieli nieunitów w Rzeczypospolitej na dwie dyecezje: Mohilewską i Kijowską. Popi za granicą Rzeczypospolitej w dwóch tych ogniskach propagandy, w Mohilewie i w Kijowie, święcą się dla naszego ludu na Rusi. Moskwa jednocześnie zakazuje wszelkich stosunków unitom w kraju zabranym z metropolitą Jazonem Smogorzewskim, który naturalnie pozostał w Polsce. Moskwa, widzimy, ma znowu dwie miary na tolerancyą. Jej wszystko wolno. Dochodził nieraz do metropolity, kapłana bardzo zacnego i przykładnego, głos żałośny o męczeństwach unii za kordonem. Jako pasterz dobry chciał dać duszę swoję za owce swoje, pragnął biedz im na ratunek. Ale Moskwa nie pozwala swoim nieszczęśliwym unitom myślą nawet wznieść się do niego; nie pozwala mu także sprawować władzy, której odebrać nie mogła, a którą traktatami zaręczyła. Polsce nie wolno było nieść słów pociechy ukochanej braci, Moskwie wolno siłą nawracać nie swoich. Nie dosyć, że gwałt się dzieje sumieniom, ale Moskwa, co wszystko umie, nawet prawo kanoniczne katolickiego kraju, metropolicie unickiemu wykłada jego prawo, wskazuje, co może a co nie może w cerkwi. Oto drugi dokument do feldmarszałka Czerniszewa, wielkorządcy gubernii zabranych pod dniem 2go lipca 1780 r.

„Na doniesienie o nowej prośbie, którą metropolita grecko-unicki w Polsce Jazon Smogorzewski do was niedawno uczynił, pisze Katarzyna do swego wiernego Moskala, aby mu zostawić rząd kościołów grecko-unickich w połockiej i mohilewskiej guberniach, jeżeli nie na zawsze, to przynajmniej aż do nominacyi nowego arcybiskupa, uznaliśmy rzeczą potrzebną, abyście mu w odpowiedzi przesłali następujące objaśnienie, to jest, iż na mocy układu między nami a Królem Imci Polskim umówionego, ponieważ zezwoliliśmy, aby rzeczony J. S., będąc godnością metropolity w Polsce zaszczycony, wolny był względem nas od wszelkiego posłuszeństwa i podległości poddanego (!!), na jego więc miejsce (?) nominowaliśmy innego arcybiskupa do nowych państw naszych. Ten, gdy wolał zostać w państwach cesarzowej królowej, dyecezya, którą miał zarządzać, znalazła się bez pasterza. A jako prawo urządzenia jej administracyi, nominowania arcybiskupa od naszej samowładności jest nieoddzielne, tak wypływa ztąd, że żadna jurysdykcya kościelna obca nie może się mięszać w rząd rzeczonej dyecezyi w tem co się ściąga do święcenia kapłanów i innych temu podobnych czynności władzy duchownej, a zatem ani przytoczone przez metropolitę Smogorzewskiego przykłady, ani prawo, które twierdzi, iż wynika z prerogatyw do jurysdykcyi metropolitańskiej w ogólności przywiązanych, nie mogą upoważnić go do przywłaszczenia sobie (?!) jakiejkolwiek zwierzchności nad pomienioną dyecezyą. Jego w tej mierze pretensya mogła mieć jakiś fundament (!?) kiedy wyżej rzeczone prowincye jedno składały ciało z państwami Rzplitej; ale dzisiaj, gdy jest obywatelem i prałatem w innem państwie, jakże może służyć razem dwom panom równym? Ztąd widocznie pokazuje się, że wspomniony metropolita *powinien się wstrzymać* na potem od mięszania się w to wszystko, co się ściąga do osoby i urzędowania arcybiskupa w Połocku rezydującego, naszego poddanego, a zachować się przy jurysdykcyi, która mu się w Polsce należy, nie wdając się w duchowne państw naszych interesa. Co się tyczy dóbr jego własnych, należy mu podług traktatów (!) zostawić zupełne i całkowite używanie, równie jako i wszystkim innym, którzy nam przysięgę wierności wykonali. Dla urządzenia zaś administracyi interesów kościelnych w guberniach połockiej i mohilewskiej, nim nowe nasze nastąpią ukazy, mieć chcemy, aby ustanowiony był konsystorz złożony z trzech lub czterech duchownych grecko-unickiego obrządku naszych poddanych, za ludzi dobrych obyczajów uznanych *).“

Metropolita jako zwierzchnik najwyższy biskupów swojej metropolii, miał nad nimi prawo i władzę, w sobie samym reprezentował jedność. Więc domagał się tego, czego nie mógł zaniedbać pod karami kościelnemi; chciał nad bracią oderwaną czuwać. Wolny byłby od tych starań wówczas tylko, gdyby Moskwa w kordonie utworzyła była inną metropolię. Przeczuwając, że go odepchną, o tej właśnie konieczności dla Moskwy napomykał w prośbie, to jest, żeby mu pozwolono zarządzać cerkwią unicką u Moskwy, przynajmniej do czasu, póki nowy arcybiskup (naturalnie metropolita) nie stanie. Gdzieżby zaś Moskwa na takie podniesienie unii u siebie pozwoliła? Na toć ją wzięła, żeby zadusić. Ale Moskwa czuje, że potrzeba w czemś sprawiedliwości, dla sławionej w Europie przez filozofów tolerancyi swojej, ustąpić; ma w swoich zaborach aż dwa unickie arcybiskupstwa połockie i smoleńskie, musi unitom dać chociaż jednego arcybiskupa! Szuka ochotnika do posady, ale go nie znajduje; wybraniec jej woli zostać w państwach cesarzowej królowej. Otóż nie może biedna Katarzyna, chciałaby serdecznie, ale nie może. Miałaż stanowić aż dwóch arcybiskupów, kiedy pomimo starań o jednego nawet trudno. Zresztą o Smoleńsku carowa milczy; za arcybiskupa będzie konsystorz, złożony z ludzi dobrych obyczajów, to jest ze służalców, którzy za order i łaskę, krew braci swoich sprzedadzą. Arcybiskup sam, oderwany od jedności, byłby niczem innem jeno schizmatykiem; chyba gdyby podlegał bezpośrednio Stolicy Apostolskiej, jak to w kościele łacińskim się dzieje. Ale Moskwa nie lubi tych kanonów; nie chciała Smogorzewskiego, przyjęłażby papieża? Więc konsystorz ów zaimprowizowany z woli samodzierzczej, bez kanonicznego umocnienia, bez pasterza, jest już jawną schizmą. To i lepiej. Nikt nad prawowiernością rzymską unitów czuwać nie będzie, najmiłościwsza opieka carowej zastąpi i metropolitę i arcybiskupów. Czyż bowiem nie wystarczają takie rękojmie, jak rozum i serce Katarzyny? Rozum to nadzwyczaj przenikliwy, serce tak szlachetne! Pozwoliła Smogorzewskiemu, jak to w ukazie czytamy, żeby wolny był względem niej od wszelkiego posłuszeństwa i podległości poddanego. Co za wspaniałość! Byłoby to to samo, gdyby najmiłościwszy Aleksander II pozwalał także arcybiskupowi lwowskiemu być wolnym od poddaństwa Moskwie. Skoroby carowa była Smogorzewskiemu zostawiła w całej pełni władzę metropolitalną, mógłby ten wymowny frazes coś znaczyć. Ależ go usuwała. Dla niej metropolita polski stanowił jurysdykcya kościelną obcą, jako prałat i obywatel innego państwa; nie mógł, jak mówiła, Smogorzewski służyć dwom równym panom. Święcić mu nawet kapłanów nie wolno było, cóż rządzić za kordonem! Carowa wie, że metropolity prawo, to przywłaszczenie. Ale zacny Smogorzewski myśli, że w jego miejsce musi być nie konsystorz, nie arcybiskup nawet tylko metropolita. Co za nieznajomość przedmiotu! oczywiście to durak w pojęciu Koniskiego. Smogorzewski, pasterz katolicki, wie, że dla kościoła nie ma granic politycznych. Nie rzadki to przykład w kościele. Mamy naprzykład biskupstwo wrocławskie, które rozciąga się i w Austryi i w Prusiech. Smogorzewski sądził, że metropolia jego tak pozostanie, jak przed zaborem. Mniemamy jednak, że i sam Smogorzewski się nie łudził i że znał dobrze ducha carów. Już prośba jego, iżby mu pozwolono rządu do czasu ustanowienia nowego arcybiskupa, świadczy za tem. Moskwa w każdym zaborze swoim zaraz podnosi mur chiński, którym sama siebie oddziela od świata, od Europy. Moskwa wszystko robi po swojemu, bo żadnych praw nie uznaje. Jej poddany musi być wyłączną jej własnością z ciałem i duszą. Kto nie podda się Moskwie, car go wnet z niej wyrzuci, pamięć jego wykorzeni. To było wczoraj, to dziś jest, to będzie jutro. Świeży przytoczymy wypadek. Póki jeszcze trwał w Kongresówce stan rzeczy z r. 1815, mogło się pogodzić biskupstwo krakowskie jedno i w okręgu Wolnego Miasta i w Królestwie; mogło i biskupstwo ruskie chełmskie ulegać metropolicie we Lwowie. Ale skoro ślady udzielności naszej zniknęły po r. 1830, biskupstwo krakowskie rozdwojono i chełmskie odcięto od jedności, od swojego metropolity. Po drugim zaborze Moskwa bez papieża naznaczyła nowe granice dyecezyi łacińskich i ustanowiła biskupstwo latyczowskie na Podolu, żeby nie było Kamienieckie po staremu. Co Moskwie prawo, chociażby kościoła?

Smogorzewski cierpiał podwójnie, i jako Polak dobry i jako katolik. Widział ten dokonywający się okropny religijny mord Białej Rusi. Dla nas straszny to obraz, jeśli sądzić go będziemy tylko ze sprawozdań urzędowych nuncjusza w Polsce X. Garampiego do Stolicy Apostolskiej. W części wypisy z nich zaczytywał O. Theiner w „Dziejach Klemensa XIV.“ Po polsku powtórzył te wypisy „Przegląd Poznański.“ Dzisiaj mamy jeszcze bogaty zbiór dowodów w Theinera „Vetera documenta.“ Straszny to obraz pod piórem Garampiego; o ileż byłby straszniejszy, gdyby się miejscowe nagromadziły materjały! Ileż to już dowodów do tego czasu morderczа ręka Moskwy zniszczyła! Kościół więcej płakał nad tem, niż Polska, której płakać nie dano nad niedolą oderwanych dzieci. Są jednak boleści, które czuć trzeba, bo rozum ich nie pojmie. Tą niemą boleścią cierpiała Polska, ogromną jak morze, ta, co zachowała cień jakiś swojej wolności, lecz ogromniejszą ta, co przelewała codzien-

*) Annexa str. 44—46.

nie krew za narodowość i wiarę pod panowaniem Moskwy. A król jakby na zniewagę narodowi, nadawał wtedy kapitanom, majorom i pułkownikom moskiewskim indygenaty w Polsce; naraz po kilkunastu uszlachcał, jenerała Rumiancowa zrobił baronem. Ubywało Polaków za kordonem, przybywało ich z Moskali w Rzeczypospolitej.

Gabryel Conroy.

Romans

BRET HARTA.

Tom czwarty.

ROZDZIAŁ IX.

(Ciąg dalszy.)

— Pozwoli wysoki sąd — zaczął teraz Artur spokojnie,—że odłożymy na bok wszystkie inne punkta i udowodnimy niewinność naszego klienta przez jednego jedynego świadka. Że świadek ten nie był pierwej zawezwany, i zeznania jego na początku rozprawy nie były zapowiedziane, pochodziło to ztąd, że dopiero w ciągu ostatniej pół godziny znajduje się w zakresie działalności wysokiego sądu. Raczy wysoki sąd przywołać Henryka Perkinsa!

Powstało lekkie wzruszenie między widzami przy drzwiach, gdy dawano drogę szczególnej figurze — figurze ubranej w suknie mody dawno zapomnianej, o twarzy chudej, piegowatej, wyżółkłej i włosach siwych, których sztuczna farba miejscami wypłowiała. Figura ta poszła ku ławie świadków.

Jestto hiszpański tłumacz, używany także do sprawdzania dokumentów w komisyi krajowej. Poznaje obwinionego. Widział go po raz pierwszy dopiero na dwa dni przed spełnieniem morderstwa, gdy przechodził przez Conroy Hill. Obwiniony siedział na progu opuszczonej chaty z małą dziewczynką. Zabitego widział dwa razy. Raz gdy przychodził do domu don Pedra w San Francisco dla ułożenia się z nim względem sfałszowania oryginału koncesyi, która miała uczynić nieważną koncesyą posiadaną przez żonę obwinionego. Drugi raz widział w Conroy Hill rozmawiającego z żoną obwinionego. Zdawał się być wzburzonym w wysokim stopniu i nagle wydobywszy nóż, rzucił się na żonę obwinionego. Natenczas świadek interweniował w obronie kobiety; wskutek czego nieboszczyk w przystępie wściekłości rzucił się na niego i nastąpiła walka o posiadanie noża, przyczem świadek wołał o pomoc. Świadkowi nie udało się wyrwać noża z rąk zabitego i musiał użyć całej swojej siły by samemu zabezpieczyć się od zranienia. Wśród tej walki świadek usłyszał kroki i znowu począł wołać o pomoc.

Wołaniu świadka o pomoc odpowiedział jakiś głos łamanym angielskim językiem, prawdopodobnie był to głos jakiegoś Chińczyka. Przy dźwięku tego głosu i przybliżających się kroków nieboszczyk wyrwał się świadkowi i odskoczywszy na parę kroków wbił sobie nóż we własne piersi — padł. Świadek podbiegł ku niemu i znowu począł wołać o pomoc; umierający zaś z drwiącym uśmiechem powiedział: „Jeżeli sprowadzisz tu kogo, to cię przed nim obwinię o zamordowanie mnie!“ Potem nie mówił już nic; wpadł w stan nieczułości. Świadek zmięszał się wobec groźby zabitego i dlatego nie poszedł szukać pomocy. Podczas gdy tak niezdecydowany stał nad trupem, przybliżyła się ku niemu pani Conroy, żona obwinionego. Opowiedział jej tylko co przytoczone szczegóły, jakoteż i pogróżkę zabitego. Doradziła ona świadkowi natychmiastową ucieczkę i ofiarowała się sama mu towarzyszyć. Świadek wynajął konia i bryczkę i o pół do dziesiątej w nocy zabrał panią Conroy z pochyłości góry, gdzie na niego czekała. Tej samej nocy dojechali do Marklewille, gdzie pozostała pod przybranem nazwiskiem, a sam on udał się do misyi San Antonio. Tam dowiedział się od siostry obwinionego, Gracyi Conroy o uwięzieniu jej brata za morderstwo. Wskutek tego natychmiast pospieszył do One horse gulch, ale znalazł sądownictwo w ręku komitetu bezpieczeństwa. Czując, że własne jego życie może paść ofiarą, a obwinionego nie uratuje, szukał schronienia na Conroy Hill. Po powtórnem przyaresztowaniu Gabryela, a następnie wypuszczeniu za poręką, świadek pospieszył do San-Francisco, ażeby zebrać dowody dotyczące sfałszowania oryginału koncesyi i prześladowania pani Conroy przez Ramireza. Przywiózł on ze sobą nóż i wyszukał nożownika, króry przed ośmią miesiącami sprzedał go zabitemu, w którym to czasie zabity powziął pierwszą myśl napadu na panią Conroy.

— To jest wszystko! powiedział Artur.

— A jakiż... hm! hm!... był powód — zapytał pułkownik Starbottle — dlaczego hm! hm!... tak bardzo zakłopotana kobieta, która z panem uciekła i tym sposobem przyspieszyła uwięzienie męża.. dlaczego ona z panem nie powróciła, by go oczyścić z zarzutu? Dlaczego trzyma się zdala?

— Jest chora... niebezpiecznie chora w Maskleville. Wzruszenie i wysilenie w podróży spowodowało przedwczesny poród. Dziecię urodziło się...

Nagły ruch powstał między obcymi koło krzesła, na którem siedział obwiniony. Artur Poinsett wstał.

— Prosimy wysokiego sądu o chwilową przerwę, powiedział. Obwiniony zemdlał.

ROZDZIAŁ X.

Rodzinne przywitanie.

Gdy Gabryel odzyskał przytomność i oczy otworzył, znalazł się na podłodze w izbie przysięgłych; głowę jego podtrzymywała Olly, a czuła i pełna wdzięku niewieścia postać, nad nim nachylona, widocznie zamierzała usunąć się. Była to Gracya Conroy.

— Teraz jest ci lepiej — rzekła Olly, biorąc brata za rękę i nie zwracając uwagi na siostrę, w którą Gabryela oczy ciągle były utkwione, — spróbój usiąść na krześle.

— To Gracja! szepnął Gabryel chrapliwie, ciągle nie odwracając oczu od pięknej postaci, teraz o drzwi opartej i wpatrując się w nią — to jest Gracya... twoja siostra, Olly!...

— Jeżeli myślisz o tej pani, która robiła co tylko mogła by cię życia pozbawić, i tylko z tym zamiarem tu przybyła, — to w takim razie nie jest ona moją siostrą, nie! zawołała Olly.

— Jeżeli masz na myśli istotę — rzekła Gracya zimno do brata — z pełnem prawem noszącą nazwisko, którego zaparłeś się pod przysięgą nawet wobec szubienicy, to ona ci mówi teraz: nie potrzebuje od ciebie nic, oprócz swego nazwiska.

— Słusznie — rzekł Gabryel z prostotą. Pochylił głowę na dwie potężne swe ręce i dreszcz przebiegł po olbrzymiem jego ciele.

— Przecież z powodu tego krokodyla nie wpadniesz znowu w hysterykę, — zawołała Olly, z niespokojnością nachylając się ku bratu, — nie płacz, Gabie, nie płacz, — szlochała Olly — nie bierz tego do serca.

W tem weszła jeszcze jedna kobieta, ze współczuciem spojrzała na Gabryela, i na obie siostry. Była to pani Markle.

— Wszystko się skończyło, Gabryelu! jesteś uznany niewinnym! — rzekła nie zwracając uwagi na obie kobiety, — jest tu p. Poinsett.

Artur wszedł prędko, zatrzymał się jednak i zarumienił lekko pod zimnym wzrokiem Gracyi Conroy. Ale tylko na chwilę. Potem podszedł do Gabryela i powiedział mu wesoło:

— Gabryelu! winszuję panu! Prokurator orzekł *nolle prosequi*; jesteś uniewinniony.

— Sądzisz pan, że mogę odejść? — zapytał nagle Gabryel twarz podnosząc.

— Jesteś wolny jak powietrze.

— A co się dzieje z nią? — zapytał Gabryel prędko. Z moją żoną... Julią.. czy także wolna?

— Co do tej sprawy, tak jest, odrzekł Artur, z niewielkiem zajęciem, co Gabryel zaraz zauważył.

— Więc pójdę, powiedział, wstając na nogi. Zrobił parę kroków po pokoju, a potem zawahał się, stanął i zwrócił się ku Gracyi. I znowu przybrał swą zwykłą niewinną postawę.

— Pani zechce mi przebaczyć — powiedział błądząc wzrokiem, i w końcu wpatrując się w swą odszukaną siostrę, — pani raczy mi przebaczyć, jeżeli niemam teraz czasu do pokazania jej posiadłości na Conroy Hill. Ale jest tam wszystko, i dom stoi otworem, tak jak zawsze dla pani stał otworem. Poszedłbym z panią gdybym miał czas; ale chcę wyjechać, teraz, zaraz wieczorem, by Julję odwiedzić. Ażeby odwiedzić moją żonę, panno Conroy, ażeby odwiedzić Julią, i moje dziecko biedne, małe, nowonarodzone dziecko... ot takie maleńkie, — dodał wyciągając swój wskazujący palec.

— Weź mnie z sobą Gabie, — rzekła Olly, rzucając na swą siostrę ogniste spojrzenie.

Ten odwrócił się, potężną swą ręką objął Olly, podniósł do góry i znikł za drzwiami.

To zniknięcie Gabryela i Olly zredukowało grupę do pani Markle i Gracyi Conroy, naprzeciw których stali panowie Poinsett i Maxwell. Pani Markle przerwała przytłaczające milczenie tem, że wysunęła się naprzód, pochwyciła Maxvella za rękę i wyszła z nim; Artur i Gracya pozostali sami.

Po raz pierwszy w swem życiu Artur utracił panowanie nad sobą. Trwożliwie spoglądał na kobietę, stojącą przed nim, i czuł że tu nie poskutkuje ani konwencyonalna grzeczność, ani nieokreślone wspomnienia sentymentalne.

— Czekam na moję służącę — rzekła Gracya zimno — jeżeli pan powraca do sali sądowej, to bądź tak dobry i przyszlij mi ją tu; będę panu obowiązana.

Artur skłonił się zmięszany.

— Służącą pani... zaczął.

— Tak jest, sądzę, że pan ją znasz, panie Poinsett — ciągnęła Gracya dalej, podnosząc na niego piękne swe oczy — Manuela!

Artur kolejno to bladł, to czerwieniał. Czuł, że jest śmieszny.

— Ale przepraszam pana... może to sprawi panu trudność... więc sama pójdę — rzekła Gracya tonem pogardliwym.

— Chwilę tylko, panno Conroy! — zawołał Artur, występując przed nią — chwilę tylko! proszę!

Zatrzymał się, a potem powiedział z mniejszym namysłem, a większym ogniem aniżeli zwykł był czynić to od sześciu lat.

— Chętniej pewno przebaczyłabyś pani swemu bratu, gdybyś wiedziała, że ja, który nie miałem przyjemności spotkać jej od czasu... od czasu jak pani zaginęłaś dla nas wszystkich... że ja, którego myśli na nikim innym nie spoczęły... że ja sam byłem tak ślepy, tak głupi i pozornie nawet tak bez serca jak on. Ja pani nie poznałem!

Gracya Conroy zatrzymała się i podniósłszy na niego ciemne swe oczy — rzekła:

— Zapomniałeś pan... o donnie Maryi Sepulvida!...

Przesunęła się przed nim, i wyszła. Serce jego rozradowało się; miał zamiar iść za nią, gdy we drzwiach spotkał się z pułkownikiem Starbottle, mocno pierś wydymającym.

— Pozwól mi pan (zaczął pułkownik) że jako gentleman, jako człowiek... hm! hm!... honoru, powinszuję mu! Goddam panie! gdym przedstawił owo *nolle prosequi;* powiedziałem sam do siebie... tak jest!... do wszystkich piorunów,... powiedziałem sobie: Star, to jest usprawiedliwienie... do pioruna... usprawiedliwienie, panie!

— Dziękuję panu, — rzekł Artur w roztargnieniu, podczas gdy oczy jego były ciągle zwrócone na usuwającą się postać Gracyi, — dziękuję panu w imieniu mego klienta i mojem własnem.

— Goddam, panie, rzekł pułkownik Starbottle, całą swoją postacią zastępując mu drogę— goddam, panie! to jeszcze nie wszystko. Przypomnisz pan sobie, że ostatnia nasza rozmowa w San Francisco dotyczyła zupełnie innego sporu prawnego. Spór ten!... dumny jestem, że mogę to powiedzieć... jako adwokat mogę to powiedzieć... hm!... legalnie jest usunięty. Wskutek... hm!... indentyfikacyi i legalnej.. hm!... rehabilitacyi Gracyi Conroy, pretensye mojego klienta upadają. Zawiadomisz pan swego klienta, panie Poinsett.

Artur zatrzymał się i badawczo spojrzał na mężnego pułkownika.

— Cofasz pan pretensye pani Dumphy do pana Dumphy? zapytał powoli.

Pułkownik Starbottle nie dał ustnej odpowiedzi. Ale mężny ten wojownik tak wykrzywił jednę stronę swej twarzy, że mu się aż oko jedno zamknęło.

— Tak jest, panie! chodzi tu tylko o parę tysięcy dolarów, za które... hm! hm! pan pojmujesz... hm! hm! jestem osobiście odpowiedzialny.

— Te nigdy nie będą wymagane, pułkowniku, — odrzekł Artur z uśmiechem — jestem tego pewny... znam pod tym względem usposobienie człowieka najbardziej interesowanego — pana Piotra Dumphy.

ROZDZIAŁ XI.

Ślady znowu się ukazują.

Jack Hamlin znajdował się w bardzo złym stanie. Dr. Duchesne, powołany z Sacramento, udzielił tyle otuchy swemu pacyentowi, tyle nagany czarnemu Pete z całą powagą swego powołania, że ci którzy go znali, bezwłocznie poczęli wyprowadzać z tego najgorsze wnioski. Faktycznie unikał on wszelkich bezpośrednich zapytań Olly, która w ostatnich czasach przeistoczyła się w zdumiewająco piękną i słodką pomocniczkę Pete. Aż dopóki jednego dnia, gdy zostali sami, z większą powagą aniżeli zwykle postawił jej zapytanie czy pan Hamlin nie mówił z nią kiedy o swoich krewnych, albo o jakiejkolwiek bliskiej sobie osobie, którąby łatwo i prędko można było sprowadzić.

Olly w kobiecej swej głowie przemyśliwała już nad tem i parę razy przychodziło jej na myśl napisać do „niebieskiej panny;“ ale następnie przypomniała sobie poufne zwierzanie się Jacka podczas nocnej podróży i ową hiszpańską piękność, którą on jej w kilku zarysach przedstawił. Otóż pewnego wieczora, gdy sama została z chorym, a gorączka mu ustąpiła, rzekła:

— Sądzę, że miałbyś pan się znacznie lepiej, gdyby była tu przy panu owa osoba z San Antonio.

Jack utkwił w nią zdziwione swe oczy.

— Sądzę, że gdybyś pan miał przy sobie ową ukochaną.. tę meksykańską kobietę... to ona mogłaby pielęgnować go — dorzuciła przebiegła Olly.

Jack omal że nie wyskoczył z łóżka.

— Pomyśl tylko, Olly — zawołał — czy ja, wędrowny kaleka... taki wagabunda... pomyśl tylko czy ja, w takim stanie, mógłbym przedstawić się damie? Posłuchaj, Olly, ciągnął dalej, wsparłszy się na łokciach, — jeżeli wyobrażasz sobie, że ta kobieta jest jedną z tych szpitalnych sióstr... uwijających się koło chorego człowieka z kawałkiem kamfory w jednej ręce, a traktatem w drugiej... to w takim razie zrobiłabyś lepiej, panno Conroy, byś umysłowy swój materyał do porządku przyprowadziła. Nie mów mi o tej znakomitej damie jako o mojej ulubionej... bo to jest... bo to jest obraza boska!...

Gdy się przybliżał czas rozprawy, Hamlin nie okazywał wielkiego interesu. Raz raczył wyjaśnić tę swoję oziębłość.

— Przyjdzie świadek, Olly, który brata twego uwolni... Ale gdybyś chciała pójść za moją radą, Olly, to trzymałabyś się zdala od tego sądu. Dość będzie posłać po mnie.

— Ależ pan nie możesz ruszyć się; nie masz dość siły, zauważyła Olly.

— Sądzę, że Pete będzie mógł mnie zanieść jakimkolwiek sposobem, choćby na plecach. Nie ważę teraz tak bardzo wiele — dodał Jack smutno, spoglądając na swe wychudłe białe ręce, — już to wszystko wykalkulowałem.

Tymczasem Olly, bardzo jeszcze powątpiewająca o Gabryelu, w dniu rozprawy była niezmiernie wzruszona i niespokojna, aż dopóki nie nadszedł posłaniec od p. Maxvella z kartką do Hamlina, uwiadamiającą o pojawieniu się Perkinsa w sądzie i wzywającą Olly by stawiła się tamże.

— Co to za Perkins? zapytała Olly, chwytając za kapelusz.

— To nie żaden świętoszek — odrzekł Jack sentencjonalnie, — nie zadawaj dalszych pytań... wszystko dobrze idzie dla Gabryela... jest tak dobrze jakby wolny. Biegnij biegnij!... Ale zaczekaj jeszcze minutę! Pocałuj mnie!... Tak! tak!... teraz nie ma co martwić się!... Życzę wszelkiego szczęścia, Olly!... raz, dwa... marsz!

I gdy Olly znikła za drzwiami, począł mrugać oczyma.

Był sam. Dom był bardzo spokojny i cichy; większa część gości, gospodyni i jej pomocnica pospieszyli na zajmującą rozprawę; nawet Pete, który nie przypuszczał by wierna jego asystentka, Olly, zapomniała o swej powinności, skorzystał z czasu by pobiedz i posłuchać jak argumentują obrońcy. Gdy pospieszne kroki Olly rozległy się w korytarzu, Hamlin uczuł, że jest w posiadaniu całego domu.

Przeświadczenie to przyniosło mu pewną ulgę.

Wstał z wielką trudnością — i ubrał się. Następnie uczuł się niezmiernie słabym; w głowie mu się zakręciło i padł na krzesło przy oknie. Zimny powiew wiatru odświeżył go na chwilę: znowu probował wstać — ale nie mógł.

Nastąpił sen, męczące i bezsenne czuwanie letargiczne — a potem jakaś próżnia i przesuwające się cienie śmierci.

Ale wpośród tego choasu wznosiła się ciągle jedna postać, — postać donny Dolores!... Ale czy ta postać pojawiła się Hamlinowi w zamierzchłych sklepieniach misyjnego kościoła, w dymie kadzideł, w bryznięciu święconej wody — czy też nachyliła się nad nim i zwilżała mu rozpalone usta chłodzącym napojem i poduszki poprawiała — czy też siedziała na krześle przy nim: zawsze była obecną. I gdy raz dłużej zatrzymała się i stawać się poczęła coraz widoczniejszą — zerwał się Hamlin z największem wysileniem i szepnął cicho:

— Donna Dolores!

Postać przestraszyła się, nachyliła swą piękną twarz, niebiańskim rumieńcem promieniejącą, położyła mu palce na ustach i wyraźnie po angielsku powiedziała:

— Ts!... jestem siostra Gabryela Conroy.

(D. n.)

Z NIEZNANYCH POEZYJ.

I.

Modlitwa do świętej Cecylii.

Za ludem, który nigdy hufcami zbrojnemi
Obcej dla marnych łupów nie najeżdżał ziemi,
Który choć silny, słabszych nigdy nie ciemiężył,
Który jak braci kochał tych, których zwyciężył,
Który miodem swych lasów, chlebem swojej roli
Sam żył i dla przychodnia miał zawsze do woli,
Za ludem cichej cnoty i poczciwej sprawy,
Spokojnego sumienia i chwały bezkrwawej.
Módl się Twą pieśnią w Niebie o Cecylio święta!
Rolników swoich niechaj Bóg pamięta.

Za ludem który całą swą powieść dziejową
Ułożył w jednę krwawą wyprawę krzyżową,
I nie grobu Chrystusa lecz Chrystusa wiary
Strzegł pilnie, przed dzikiemi Turki i Tatary,
Za ludem, Europy tarczą i podporą,
Co ginął pod Lignicą, Sokalem, Cecorą.
Pod Chocimem i Wiedniem, aż księżyc dwurogi
Dał na zdeptanie Pannie Maryi pod nogi.
Za ludem czujnej straży od plagi pogańskiej,
Za ludem poświęcenia i służby kapłańskiej,
W habicie z kutej zbroi, w kapturze z przyłbicy,
Ludem mężnego serca i dzielnej prawicy —
Módl się Twą pieśnią w Niebie, o Cecylio święta
Żołnierzy swoich niechaj Bóg pamięta.

Za ludem, ktory z piękną dziewicą, królową
Wniósł Litwie Ewangelii wiekuiste słowo,
Który najpierwszy w dziejach i ostatni razem
Nie długą pracą wieków, nie władzy rozkazem,
Ale chwilą zapału, wielką chwilą — cudem
Lud braterski pojednał z najezdników ludem;
A jak w kościele wiary Sakramentu wodą
Tak w kościele historyi ochrzcił praw swobodą,
Za ludem który krzyże wśród pogaństwa stawiał,
Za ludem ktory kochał, oświecał i zbawiał,
Módl się Twą pieśnią w Niebie, o Cecylio święta
Apostołów swoich niechaj Bóg pamięta.

Za ludem który dzisiaj nie ma pyłka ziemi
Za przyznaną ojczyznę pod stopy swojemi,

Za ludem od trzech ludów stokroć rozszarpanym
Przed stu laty gnębionym, po dzisiaj zgnębianym,
Za ludem biednych ojców, ludem smutnych matek,
Pomordowanej młodzi i zgorszonych dziatek,
Ludem, któremu wydrzeć chcą przeszłości dzieje,
Poznanie prawd obecnych, zbawienia nadzieję.
I tę ostatnią nawet pociechę złej doli
Cichą skargę Jeremich, pieśń smutku w niewoli,
Więc żalem krwawej pieśni i ciężkiego losu
Za tym ludem milczącym bez pieśni, bez głosu
Módl się Twą pieśnią w Niebie, o Cecylio święta,
Męczenników swoich niechaj Bóg pamięta.

Narcyza Żmichowska.

CZARNE INDYE.

(W przepaściach ziemi).

przez

JULIUSZA VERNE.

przełożył z francuzkiego

ARKADYUSZ KLECZEWSKI.

(Ciąg dalszy).

IV.

Komora Dochart.

Dwudziestopięcioletni Henryk Ford, szczupły i wysmukły, wcale dorodnym był młodzieńcem. Od najmłodszych już lat odznaczał się pomiędzy swymi towarzyszami usposobieniem poważnem, myślącem, a regularne jego rysy, wzrok pełen słodyczy, włosy wpadające w szatyn, i jakiś wrodzony urok otaczający całą postać, składały całość prawdziwego „lowlandera," będącego najpiękniejszym typem mieszkańca dolin szkockich. Zahartowany od dzieciństwa w pracy górniczej, dobry robotnik, a zarazem dzielny i poczciwy towarzysz, Henryk pracując pod kierunkiem doświadczonego ojca, jednocześnie kształcił z własnego popędu swój umysł, i w wieku, w którym inni wychodzą zaledwie na uczniów, on stanął już w rzędzie najzdolniejszych w swoim zawodzie, i z pewnością, gdyby kopalnia była jeszcze w ruchu, byłby już został do tego czasu w miejsce swego ojca obermanem komory Dochart.

Jakkolwiek inżynier Starr dobrze jeszcze mógł chodzić, nie byłby podążył za młodym swoim przewodnikiem, gdyby tenże nie zwolnił był cokolwiek kroku.

Deszcz padał już z mniejszą gwałtownością; ulewa zmieniła się w dżdżysty wiatr wiejący od strony morza, nie tyle przykry chociaż równie przejmujący.

Dwaj nasi podróżni, Henryk z tłomoczkiem inżyniera w ręku, blisko milę drogi szli lewym brzegiem rzeki. Minąwszy następnie kręte wybrzeża, wstąpili na drogę wysadzaną wielkiemi drzewami a ciągnącą się wśród rozległych pastwisk. Po jednej i po drugiej stronie drogi pasły się spokojnie stada bydła; były to krowy bezrożne albo też owce o jedwabistej wełnie, z drobnego wzrostu swego podobniejsze raczej do zabawek dziecinnych, aniżeli do żywych stworzeń. Na całej przestrzeni nie było widać ani jednego pasterza, poukrywali się zapewne przed deszczem; nad każdem jednak stadem czuwał „colley," pies słynny ze swej pojętności, a napotykany jedynie w tej okolicy Zjednoczonych królestw.

Przez całą drogę James Starr zostawał pod wpływem wzruszenia wywołanego dawnemi wspomnieniami: nie był on w tych stronach od owego dnia, w którym ostatni ładunek węgla z kopalni Aberfoyle wyprawiono na pociąg glasgowski. Pełne ruchu i ożywienia zajęcia przemysłowe ustąpiły tu miejsca cichszemu i spokojniejszemu rolnictwu. W porze zimowej różnica ta bardziej jeszcze była uderzającą. Dawniej, inaczej tu bywało! o każdej porze roku, ruchliwe zastępy robotników ożywiały całą okolicę; wielkie ładowne wozy dniem i nocą przewoziły węgiel; szyny zagrzebane dziś w ziemi wraz ze zgniłemi podkładami, skrzypiały niegdyś pod ciężarem wagonów, a zwykła kamienista droga zajęła miejsce dawnych tramwajów.

Inżynierowi zdawało się chwilami, że przebywa pustynię. Od czasu do czasu zatrzymywał się, aby odpocząć i słuchał. W powietrzu przecież nie rozlegał się jak dawniej przeciągły i donośny świst pary, ucho nie zachwyciło jednostajnego turkotu maszyn; ani jeden z owych słupów czarniawego dymu, tak miłych oku przemysłowca, nie wzbijał się w górę; jak daleko sięgnąć można było wzrokiem, nie widać było nigdzie ani pieców cylindrowych o wysokich kominach, ani rur buchających białą śnieżystą parą; sama ziemia nawet nie zabrudzona miałem węglowym, straciła dawny zwykły swój pozór.

Za każdym takim przystankiem, zatrzymywał się także i Henryk. W milczeniu śledził oznaki wzruszenia na twarzy swego towarzysza i z równem podzielał je przejęciem—jako dziecko kopalni, całą młodość swoję spędziwszy w łonie tej ziemi, nie mógł być obojętnym wobec zmian tak ścisły związek z własnem jego życiem mających.

— Tak, tak, Henryku — mówił James Starr — wszystko się tutaj zmieniło! Ale cóż robić, prędzej czy później należało się spodziewać, że przy ciągłej eksploatacyi, pokłady musiały się przecież wyczerpać. Żałujesz tamtych czasów?

— Żałuję, panie inżynierze, bo to dobre były czasy. Praca ciężka, ale zajmująca bo wśród ciągłej walki.

— Masz słuszność, mój chłopcze! Walka to była bezustanna: zasypanie ziemią, pożary, zalew wody, wybuchy gazu zabijającego jak piorun, groziły nam na każdym kroku; trzeba było stawiać opór tym niebezpieczeństwom. Dobrze mówisz! Była to walka a więc było i czynne życie!

— Górnicy w Alloa szczęśliwsi są od nas pod tym względem! — zauważył z westchnieniem młody człowiek.

— W samej rzeczy...

— Doprawdy! — zawołał Henryk wpadając w zapał — co to za szkoda, że cała kula ziemska nie jest jednym kawałem węgla. Wystarczyłoby go na kilka milionów lat.

— Bezwątpienia, mój Henryku, ale z drugiej strony przyznać również wypada, że przyroda okazała się bardzo przewidującą, tworząc ziemię naszę przeważnie z wapienia, łupku i granitów, których ogień spożyć nie zdoła.

— Mniemasz pan więc, panie Starr, że ludzie puściliby z dymem całą ziemię!

— To nie ulega najmniejszej wątpliwości, mój chłopcze — odpowiedział z uśmiechem inżynier... Cała ta ziemia spłonęłaby do ostatniego kawałka w lokomotywach, lokomobilach, statkach parowych, w fabrykach gazu i, z pewnością, taki byłby koniec świata.

— W obecnym jednak stanie rzeczy nie zagraża nam nic podobnego; ale za to wyczerpią się kopalnie węgla i może nawet jeszcze przed terminem oznaczonym statystycznemi wyliczeniami.

— Przyjdzie do tego, Henryku, i mojem zdaniem, Anglia może nie najlepiej postępuje zamieniając własne paliwo na złoto innych narodów.

— To pewno! — potwierdził Henryk.

— Jestem przekonany — mówił dalej inżynier — że hydraulika i elektryczność nie wypowiedziały jeszcze ostatniego słowa i że przyjdzie czas, w którym obie te siły zużytkowane zostaną w rozmiarach niepodobnych dzisiaj do ocenienia; ale pomimo to, nie zastąpią one nigdy węgla kamiennego pod względem praktyczności i rozległego zastosowania w różnych gałęziach przemysłu. Na nieszczęście, węgla nie można produkować w miarę potrzeby! Gdy na powierzchni ziemi lasy odradzają się ciągle wskutek działania ciepła i wilgoci, lasy wewnętrzne nie odrodzą się już nigdy, bo kula ziemska nie znajdzie się nigdy w warunkach koniecznych do ich wytworzenia.

Tak rozmawiając, James Starr i jego przewodnik podążyli spiesznym krokiem i w godzinę po wyjściu z Callander, znaleźli się u szybu wiodącego do komory Dochart.

Najobojętniejszy nawet nie mógłby bez wzruszenia spojrzeć na stan opuszczenia w jakim znajdowały się zaniedbane budynki. Był to jakoby kościotrup żyjącej niegdyś istoty.

Rozległa przestrzeń, wśród której gdzie niegdzie tylko wznosiły się kępki drzew wynędzniałych, pokryta była czarnym pyłem, ale nie dojrzałeś tam ani kawałeczka węgla, ani odrobiny miału; wszystko cokolwiek zużytkowanem być mogło, oddawna już skrzętnie wybrane i spalone zostało.

Na niewielkiem wzgórzu, sterczał zrąb już tylko z olbrzymiej drewnianej budowli, niszczonej zwolna działaniem słońca i deszczów. W górnym przedziale zrębu widać jeszcze było wielkie koło a obok niego olbrzymie bębny, na których zwijały się dawniej łańcuchy służące do wydobywania kiblów z wnętrza kopalni.

Smutniejszy jeszcze był widok przedziału dolnego, gdzie można było rozróżnić ślady opustoszałej izby zajmowanej niegdyś przez maszyny. Odłamy muru zalegały tam ziemię wraz z połamanemi i nadgniłemi belkami; zniszczone windy, powywracane pompy, schody trzymające się zaledwie kilku spruchniałemi szczeblami i przypominające pozorem swym szkielety ichtyozaurów; gdzieniegdzie zardzewiałe szyny rzucone wpoprzek belek, chwiejących się za każdym silniejszym powiewem wiatru, odłamki wreszcie tramwajów, które nie udźwignęłyby nawet próżnego wagonu—oto wszystko, co pozostało na powierzchni szybu prowadzącego do komory Dochart.

— Serce się kraje, patrząc na te pustkowia—przemówił inżynier, zwracając się do swego towarzysza.

Zamyślony młodzieniec odpowiedział tylko westchnieniem.

Znajdowali się wówczas nad otworem szybu Yarow, którego drabiny stanowiły obecnie jedyną komunikacyą z wnętrzem kopalni.

Inżynier nachylił się nad studnią.

Dawnemi czasy wydobywały się z niej silne prądy powietrza, dostarczanego kopalni za pomocą licznych wentylatorów; dziś była to tylko otchłań milcząca, jak krater wygasłego wulkanu.

Podróżni nasi wstąpili na pierwszą drabinę.

W czasach eksploatacyi wszystkie szyby wjazdowe kopalni Aberfoyle obsługiwane były sztucznie urządzonemi windami, składającemi się z pewnego rodzaju klatek automatycznych, nazywanych „engine-men", a za lekkiem dotknięciem których, górnicy mogli spuszczać się w głąb

bez niebezpieczeństwa lub też wznosić się w górę bez utrudzenia.

Z zaprzestaniem jednakże robót usunięto jednocześnie i te wydoskonalone przyrządy komunikacyjne. W jednym tylko szybie Yarow pozostawiono długi łańcuch zwykłych drabin, oddzielonych jedne od drugiej szczupłemi ustępami co pięćdziesiąt stóp. Trzydzieści takich drabin należało przebyć, aby dostać się do właściwej kopalni, to jest do głębokości tysiąca pięciuset stóp... Oprócz tego, szyb Jarow, połączony galeryami, z innym szybem umieszczonym w punkcie znacznie wyższym, dostarczał podziemiom świeżego powietrza, spełniając w ten sposób zadanie naturalnego wentylatora

— Idź naprzód, mój chłopcze — rzekł James Starr do Henryka.

— Skoro pan tego żąda, będę drogę wskazywał.

— A czy masz lampę?

— Mam, panie inżynierze, ale dałby Bóg, żeby to była lampa bezpieczeństwa, jakich dawniej używaliśmy!

— Prawda, dziś nie ma obawy o wybuch gazów.

Henryk zapalił zwykłą lampę napełnioną olejem. W kopalni pozbawionej zupełnie węgla, nie mógł się wydobywać gaz błotny, nie groziło więc niebezpieczeństwo eksplozyi, a tem samem nie zachodziła potrzeba używania tak wydoskonalonej już podówczas lampy Davy'ego, metalicznem swem płótnem ochraniającej płomień od zetknięcia się z zapalnem powietrzem.

Stosownie do życzenia inżyniera, młody górnik pierwszy zaczął zstępować po drabinie. Wkrótce otoczyły ich głębokie ciemności, przerywane tylko słabym promieniem lampy, którą Henryk trzymał po nad głową.

Miarowym krokiem, z wprawą doświadczonych górników, przebyli tak dwanaście drabin; wszystkie one były jeszcze w należytym stanie.

James Starr, o ile dozwalało na to migotliwe światło lampy, badał z ciekawością ściany studni, pokryte na wpół przegniłą drewnianą cembrowiną.

Po przebyciu piętnastej drabiny, to jest w połowie drogi, zatrzymali się na chwilę.

— Nie ma co mówić, ale nie mam już takich nóg jak dawniej — rzekł inżynier, mocno odetchnąwszy.

— O! jeszcze pan jesteś bardzo silny — odpowiedział Henryk— zaraz poznać żeś pan długo przebywał w kopalni.

— Może masz i słuszność, Henryku; wprawa wiele tu znaczy, a za dawnych czasów, kiedy byłem o jakie dwadzieścia lat młodszy, jednym tchem na sam dół schodziłem. No, idźmy dalej!

W chwili jednak, gdy podchodzili ku szesnastej drabinie, z głębi szybu dał się słyszeć oddalony jeszcze głos ludzki. Głos ten, jak fale morza zbliżał się, wznosił i z każdą chwilą stawał się coraz wyraźniejszym.

— Któż tam idzie? — zapytał inżynier, wstrzymując Henryka.

— Nie wiem ktoby to mógł być taki.

— Czy nie twój ojciec przypadkiem?

— O, nie, panie inżynierze, za to ręczę.

— Zatem jaki sąsiad?

— W kopalni nie mamy żadnych sąsiadów; mieszkamy tam sami, zupełnie sami.

— Ktokolwiek to jest zresztą, musimy go przepuścić; schodzący na dół ustępuje zawsze miejsca idącemu w górę.

Usunęli się obaj cokolwiek na bok.

Tymczasem głos rozlegał się już tak donośnie i wyraźnie, że z łatwością można było zrozumieć słowa ludowej piosnki szkockiej.

— Śpiewka jeziora! — zawołał Henryk. — Ach! teraz jestem już pewny, że idący ku nam jest nie kto inny tylko Jakób Ryan.

— Cóż to za Jakób Ryan, tak dzielnie wyśpiewujący?

— Dawny mój towarzysz z kopalni — odpowiedział Henryk i przechyliwszy się nad otworem, zawołał:

— Hej! Jakóbie!

— Czyś to ty, Henryku? — doleciała z głębi odpowiedź. Zaczekaj tam na mnie.

I śpiew popłynął jeszcze swobodniej.

W kilka minut później, dwudziestokilkoletni młodzieniec, o wesołem obliczu, z uśmiechem na ustach, o jasnych oczach i jasno blond prawie złotawych włosach, ukazał się na przestanku pod piętnastą drabiną.

Przedewszystkiem uścisnął serdecznie podaną sobie dłoń Henryka.

— Rad jestem, że cię spotykam! — zawołał. Ale, na świętego Munga! gdybym był wiedział, że wyjdziesz dzisiaj na świat, byłbym sobie oszczędził tej podróży szybem Yarow!

— Pan James Starr — odrzekł na to Henryk, zwracając lampę ku stojącemu w cieniu inżynierowi.

— Pan Starr tutaj! — powtórzył zdziwiony Jakób. — Ah, panie inżynierze, nigdy byłbym pana nie poznał. Od czasu opuszczenia kopalni, oczy moje odwykły już od ciemności.

— A ja przypominam sobie doskonale młodego wyrostka, który ciągle śpiewał. — To pewno byłeś ty, Jakóbie?

— Ja, panie Starr, ale ze zmianą zatrudnienia, nie zmienił się mój humor. Zdaje mi się zawsze, że lepiej śmiać się i śpiewać, aniżeli płakać i narzekać.

— Bezwątpienia, Jakóbie. A cóż teraz porabiasz?

— Pracuję na folwarku Melrose, pod Irvin, w hrabstwie Renfrew, o czterdzieści mil ztąd. Oh! już to nie taka robota jak w naszej kopalni! Kilof lepiej przypadał mi do ręki aniżeli socha albo rydel; a przytem w kopalni echo było cudowne! Każdą śpiewkę stokrotnie powtarzało, a tam, na górze, to i mówić nie warto!... Pan inżynier zapewne idzie odwiedzić starego Szymona.

— Tak jest, Jakóbie.

— Nie zatrzymuję więc pana.

— Powiedz mi, mój kochany — zapytał go Henryk, — co cię tu dzisiaj do nas sprowadziło?

— Chciałem się z tobą zobaczyć, kolego, i zaprosić na zabawę klanu Irvin. Wiesz, że jestem „piperem" *) miejscowym. Będą śpiewy i tańce.

— Dziękuję ci za pamięć, Jakóbie, ale nie mogę korzystać z twojego zaproszenia.

— Nie możesz?

— Żadną miarą; pobyt pana Starr w kopalni może się dłużej przeciągnąć, a następnie będę musiał odprowadzić pana do Callander.

— E, to nie przeszkadza! zabawa w Irvin ma się odbyć dopiero od dziś za tydzień, a pan inżynier nie zabawi tu pewno tak długo, będziesz więc wolnym zupełnie.

— W samej rzeczy, Henryku — rzekł na to James Starr — nie wypada odmawiać na zaproszenie kolegi.

— A więc masz moje słowo, Jakóbie. Za tydzień zobaczymy się w Irvin.

— Pamiętaj tylko, że to od dziś za tydzień — odpowiedział Jakób. — Bywaj zdrów, Henryku! — Sługa pański, panie Starr! Bardzo rad jestem, żem pana spotkał! Będę mógł udzielić wiadomości o panu dawnym przyjaciołom. Wszyscy pana pamiętają, panie inżynierze.

— I ja nie zapomniałem o nikim! — rzekł Starr.

— Imieniem wszystkich dziękuję panu za pamięć.

— Bądź zdrów, Jakóbie! — zakończył Henryk i raz jeszcze uścisnął rękę swego przyjaciela.

I Jakób kończąc swą śpiewkę znikł wkrótce w wyższych kondygnacyach szybu.

W kwadrans później, James Starr i Henryk zeszli z ostatniej drabiny i znaleźli się na najniższem piętrze kopalni.

— Czy odpoczniemy tu chwilkę? — zapytał młody człowiek.

— Nie, mój kochany — odrzekł inżynier — śpieszmy do waszego mieszkania.

— Pójdę więc naprzód, jeżeli pan pozwoli; chociaż jestem przekonany, że kto ale pan nie zabłądziłby pewno w tym labiryncie ciemnych galeryi.

— I mnie się tak zdaje, bo dotąd jeszcze mam w głowie cały plan kopalni.

Zapuścili się w jednę z najobszerniejszych galeryj, o wysokiem sklepieniu jakby nawa katedralna. Galerya ta była pusta zupełnie, od czasu do czasu tylko potrącali nogą o wystające z ziemi podkłady na których spoczywały niegdyś szyny tramwayu.

Zaledwie jednak uszli jakie pięćdziesiąt kroków, olbrzymi kamień spadł tuż przed nogami inżyniera.

— Strzeż się pan! — zawołał Henryk, chwytając go za rękę.

— Oho! stare sklepienia nasze, jak się pokazuje, słabo się już trzymają i kto wie czy......

— Nie, panie Starr, — przerwał górnik — mnie się zdaje, że kamień ten został rzucony.... i to rzucony ręką człowieka.

— Rzucony! — zawołał Starr. — Co chcesz przez to powiedzieć, mój kochany?

— Nic już, nic, panie inżynierze... Chodźmy dalej — mówił z roztargnieniem Henryk, spoglądając w okół przenikliwym wzrokiem, jakby chciał zbadać tajniki otaczającej ich ciemności. — Podaj mi pan rękę i nie obawiaj się pan niczego.

— Jestem zupełnie spokojny.

Szli jakiś czas w milczeniu: Henryk tylko oglądał się i zwracał swą lampę w stronę bocznych galeryj które mijali po drodze.

— Daleko jeszcze?

— Najdalej za dziesięć minut będziemy na miejscu.

— To dobrze.

— Jest w tem jednak coś niezwykłego — szeptał Henryk. — Pierwszy raz zdarzył mi się podobny wypadek, i to trzeba jeszcze było, żeby kamień upadł właśnie w chwili kiedyśmy przechodzili!...

— Prosty wypadek... nic więcej,

— Przypadek! — powtórzył Henryk, potrząsając z niedowierzaniem głową. — Tak, tak... przypadek.

Stanął i nadsłuchiwał.

*

---

*) Piper, tak się nazywa w Szkocyi grający na kobzie, t. z. kobziarz, dudziarz.

— Cóż tam nowego, Henryku? — zapytał inżynier.

— Zdawało mi się, ze ktoś idzie za nami — odpowiedział półgłosem młody górnik i baczniej zaczął się przysłuchiwać.

A po niejakiej chwili dodał:

— Nie... to było złudzenie tylko. Oprzej się pan silnie na mojem ramieniu, jakby na kiju.

— Dobrze, Henryku. Taki dzielny chłopiec jak ty, to najpewniejsza podpora, najlepszy kij w świecie.

Szli dalej z większą ostrożnością, a echo ich kroków ponuro rozlegało się pod milczącemi sklepieniami nawy.

Henryk, widocznie zaniepokojony, odwracał się co chwila, przystawał i zatrzymywał, starając się uchwycić wzrokiem i słuchem to jakieś światełka podejrzane, to szelest przelotny.

Naprózno jednak... przed nimi i po za nimi jedynie nieprzeniknione ciemności i ponure panowało milczenie. (C. d. n.)

Wojna na morzu.

(Ciąg dalszy).

Wpadnięto wtedy na pomysł nowego rodzaju torped, tak zwanych torped zaczepnych, które w sposób zdradziecki, bez hałasu biegną pod wodą od brzegu do nieprzyjaciela, doganiają go w całym pędzie i uderzają o ścianę okrętu, wysadzają go w powietrze. Od lat kilku wszystkie rządy posiadające wybrzeża, zaopatrzyły się w tę broń nową; pojawiło się bardzo wiele systemów, lecz o ich dokładnej budowie wie się w ogóle mało, bo każdy rząd stara się swój system utrzymać w tajemnicy.

Pierwszy pomysł torped zaczepnych wyszedł o ile wiadomo z Anglii. Torpila pana Whitehead-Luppis ma mniej więcej kształt ryby. Wyrzuca się ją w wodzie przez rurę, w kierunku ściśle oznaczonym; lecz siła rzutu nie wystarczyłaby do doniesienia torpedy na wielką odległość, zużyłaby sie ona na przezwyciężenie oporu wody. Żeby tego uniknąć, we wnętrzu torpedy jest machina, która porusza śrubę małą wodną umieszczoną w końcu. Wnętrze torpedy Whiteheada podzielone jest na trzy przedziały. W przednim jest nabój dynamitowy lub prochowy, w średnim mała machina do poruszania śruby, a w tylnym zgęszczone do kilkudziesięciu (50) atmosfer powietrze, które machinę porusza.

Torpeda taka raz wyrzucona, płynie w jednym kierunku, zanurzona pod wodą tak że jej nie widać. Jedynie kulki wydobywającego się z machiny powietrza, znać o niej dają. Ster raz ustawiony, utrzymuje ją w jednym kierunku; dopłynąwszy do okrętu, uderza o jego ścianę, w skutek uderzenia wybucha zapalnik u przodu zamieszczony, a razem z nim i cały nabój. Tajemnicę tych torped sprzedał p. Whitehead wielu rządom. Dotąd już dostał około dwóch milionów franków wynagrodzenia.

Każdy egzemplarz torpedy kosztuje około sześciu tysięcy reńskich i niesie z sobą nabój stofuntowy materyi wybuchającej.

W Ameryce, w tej krainie humbugów i prawdziwych cudów mechanicznych, śmiały pomysł torped zaczepnych znalazł grunt najodpowiedniejszy. Nigdzie nie potrafiono tak dobrze jak tam wyzyskać wielkich potęg nowych materyj wybuchających. Tam dynamitem lasy karczują, nawet pola orzą; tam wysadzanie skał nie setki funtów, lecz całe dziesiątki tysięcy na raz zużywa. Mieliśmy tego przykład zeszłego lata, gdy przy wysadzeniu Hell-gate pod New-Yorkiem zapalono odrazu 50.000 funtów dynamitu. Tam też i torpedy Whiteheada wydały się zabawką; bez wahania się zaczęto budować nowe pociski wodne niosące 300, 400, 500 i nawet 600 funtów nitrogliceryny!

Z początku pojawiły się tam dwa systemy walczące z sobą o pierwszeństwo: system Laya i Ericssona. Przypatrzmy się im trochę bliżej.

Torpeda Laya, jest to rura żelazna, dwadzieścia parę stóp długa, a około trzech szeroka; ma ona kształt wielkiego cygara. Podobnie jak i torpeda Whiteheada, podzieloną jest na trzy przedziały, lecz porządek wewnętrzny jest trochę inny. Na przodzie jest jak zwykle nabój nitroglicerynowy, dalej w środkowym przedziale znajdują się flaszki z żelaza lanego, napełnione 300 funtami zgęszczonego kwasu węglowego, który z nadzwyczajną siłą dąży do przejścia w stan gazowy i służy do poruszania machiny zamiast zgęszczonego powietrza w torpedzie Whiteheada. W trzecim przedziale na końcu jest machina poruszająca śrubę umieszczoną na końcu tego małego statku. Od machiny idą druty elekryczne aż do brzegu.

Torpedę taką kładzie się na wodę i ustawia w pewnym kierunku. Za naciśnięciem guzika prąd przebiega do torpedy i otwiera tam klapę wpuszczającą do machiny zgęszczony kwas węglowy. Śruba zaczyna się obracać i torpeda płynie naprzód, ciągnąc za sobą druty elektryczne które się z walca odwijają. Temi drutami kierować można torpedą, zatrzymać ją w odpowiedniem miejscu, puścić w ruch znowu, słowem, ma się ją zupełnie w ręku. Jest to już ważna zaleta w porównaniu z pociskiem Whiteheada, który raz wyrzucony, płynąć musi sam, nie kierowany i zbacza nieraz od danego kierunku w skutek wzburzonego morza lub też silnych prądów; przytem może on tylko biedz do stojących na miejscu okrętów, gdyż trudno bardzo byłoby skombinować ruch okrętu daleko płynącego z ruchem torpedy, tak żeby się spotkały i uderzyły o siebie.

Torpeda Laya przebiega o własnych siłach dwie mile morskie i płynie z szybkością 6 węzłów.

System Ericssona w zasadzie mało się różni od wyżej opisanego; nie ma tu tylko kwasu węglowego zgęszczonego, a natomiast machina pędząca torpedę poruszana jest zgęszczonem powietrzem, które się pompuje z brzegu przez rurkę ciągnącą się w wodzie za pociskiem i rozwijającą z walca jak drut elektryczny w aparacie Laya. Zapas więc siły poruszającej jest tu nieograniczony i torpeda może płynąć tak daleko, jak rurka wystarczy. Stosownie urządzony przyrząd pozwala ustawić dowolnie ster i w każdej chwili nadawać torpedzie dowolny kierunek.

Inna różnica leży w tem, że podczas gdy pocisk Laya płynie na wierzchu wody, pocisk Ericssona jest na kilka metrów pod wodą zanurzony; żeby zaś znać było jego położenie, wystaje z jego grzbietu drążek po nad wodę, opatrzony u góry małą tarczą pomalowaną na biało od strony brzegu, a na szaro od strony nieprzyjaciela.

Po tych pierwszych wynalazkach pojawiło się wiele innych; każdy prawie rząd wprowadził swoje modyfikacye, lecz trudno się coś o nich dowiedzieć, bo naturalnie, nie rozgadują o tem na wszystkie strony.

Zobaczmy teraz jak się zachowują wobec tych pocisków napadnięte okręty. Pierwszym ratunkiem, jeśli się biegnącą torpedę dojrzy, jest ucieczka. Lecz nie zawsze się to może udać, bo nowe pociski biegną z nadzwyczajną szybkością. Nowe torpile angielskie, według czasopisma „Iron“, biegną z ogromną chyżością, 25 węzłów. Zresztą, nie łatwo dojrzeć dobrze pod wodą ukrytego pocisku, i jeżeli się dojrzy to już w ostatniej chwili kiedy nie ma czasu do ucieczki. Pomyślano więc o innych sposobach obrony. Około pancerników zawieszają w pewnym odstępie na drągach mocną sieć, która łowi biegnącą torpedę i nie dopuszcza jej do statku. Większe wojenne pancerniki już są prawie wszystkie otoczone takiemi sieciami. Rysunek takiego urządzenia widzieć można w jednym z ostatnich numerów „Illustrated London News“, w którym dany jest obraz potężnego pancernika angielskiego „Thunderer“. Lecz i na sieci są sposoby przez stronę napadającą używane, o których jednak wiadomo dotąd bardzo mało. Są projekta urządzenia przed główną torpedą drugiej małej, któraby wybuchała przy uderzeniu o sieć i torowała w ten sposób drogę swej wielkiej towarzyszce. (Dok. nast.)

O twórczości poetyckiej

przez

Juliana Ochorowicza.

(Ciąg dalszy).

Na obraz poetycki jednej osoby może się składać bardzo wiele rysów, dojrzanych u bardzo wielu osób i w różnych czasach. Nieraz dla stworzenia jednej tkanki powieściowej wszystkie epoki życia poety przynoszą swą daninę jego fantazyi i tylko takim kosztem ideały poety dorastać mogą do wyżyn doskonałości, nieodrywając się całkiem od ziemi.

Jeśli zaś ktoś zapyta, dla czego poeta w ogóle odczuwa potrzebę tworzenia ideałów i jakim sposobem dochodzi do zaspokojenia tej potrzeby, to będziemy musieli odpowiedzieć, że warunki ku temu są dwojakiej natury: pozytywne i negatywne. Z jednej strony poeta obdarzony poczuciem piękna i współczuciem psychologicznem znajdując w życiu typy piękności fizycznej, siły charakteru, typy uosabiające wybitnie namiętności złe czy dobre, musi doznawać *zadowolenia artystycznego*, które będzie tem większe im bardziej typ odbija od pospolitości, a które tem samem, na mocy powszechnego prawa psychologicznego zmuszającego nas do szukania zadowolnienia własnych upodobań, pobudzi go do szukania w fantazyi typów takich, któreby jeszcze w wyższym stopniu zadowolnić go mogły. Z drugiej strony, gdy się już wytworzą w duszy jego pewne pojęcia artystycznej wyższości niektórych typów, pobudką do tworzenia nowych będzie dlań to negatywne poczucie różnicy, pomiędzy podnioślejszemi obrazami jego ducha, a tą czczą, poziomą i mizerną rzeczywistością, która budząc *niezadowolenie artystyczne*, kontrastem swoim wzmacniać w nim będzie dążenie do lepszości, jeżeli nie w życiu to w pieśni. Gdyby poeta znajdował w około siebie tylko ideały, nie czułby potrzeby wytwarzania ich sztucznie, uzupełniając rysy jednej postaci rzeczywistej rysami drugiej i składając z nich całość wybitną, typową, idealną. Ideał jest ideałem nie dla tego, że jest zaprzeczeniem rzeczywistości, ale dla tego, że jest jej u z u p e ł n i e n i e m i p o p r a w i e n i e m. Ide-

ały nie mające w sobie podkładu rzeczywistego, nikogo nie zagrzeją. Będą to błędne ogniki, mdłe mary abstrakcyjne, ale nieprawdziwe ideały. Najbardziej nieziemskie postacie poematów mogą budzić zajęcie, ale wtedy tylko, gdy pod ich eteryczną szatą czuć serce bijące, prawdę psychologiczną. Niechże który autor stworzy choćby najbardziej zmysłową i dotykalną postać kobiety, ale niech ją wprowadzi w akcyą niemającą żadnej podstawy psychologicznej, niech nam da łataną opowieść wypadków, w których logika uczuć i namiętności nie gra żadnej roli, w których absolutnie nie będzie charakterów, umotywowanych pobudek działania — a przekonamy się, że utwór taki, nietylko nas znudzi, ale nawet rozgniewa, chociażby zewnętrzne cechy postaci najwyraziściej były naszkicowane, chociażby opisy miejsc były najbardziej realistyczno-zmysłowe. Dla tego to przewaga wyobrażeń zmysłowych, bez której nie ma poezyi, jest cechą prawdziwie poetycką wtedy dopiero, gdy służy za środek, nie za cel, gdy jest narzędziem prawd i celów duchowych. Miłostki słowika z różą, mniemane wpływy gwiazd, akompaniament burzy podczas walk duchowych, wszelkie zmysłowe uosobienia marzeń, wszelkie przenośnie i porównania — wszystko to o tyle tylko jest poezyą, o ile kryje w sobie prawdę uczuć — o ile pod obrazki słowika i róży czytelnik może sobie podłożyć niejasny obraz dwu serc kochających się; o ile świat wydaje się innym gdy jesteśmy wzburzeni, a innym gdy wesele serce wasze przepełnia; o ile niejasne pragnienia i marzenia nasze znajdują dobitny wyraz w obrazku zmysłowym, który im daje ciało, barwę i kształty. Jeśli więc wyrazy i zwroty poetyckie mogą pochodzić z oczytania — to treść wewnętrzna duchowa musi pochodzić wprost z życia poety — inaczej to co stworzy będzie miernem, mdłem; postacie jego będą miały tylko maski zamiast twarzy, róż zamiast krwi i sprężyny zamiast mięśni. Szekspir mógł sobie pożyczać wyrazów i zwrotów od kogo chciał, mógł nawet pomysły czerpać z legend, z tradycyi — a przecież tworzył rzeczy wielkie — bo on pod to wszystko miał co podłożyć, miał czem natchnąć — bo miał serce i pisał przez serce. Że zaś w tem sercu były wszystkie siły jakiemi duchowość ludzka rozporządzać może, że były one w harmonii i według praw odwiecznych działały, mógł więc ten materyał co przez serce jego przeszedł, co się w tej formie odcisnął i przez ten alembik przedystylował — mógł posiadać wszelkie cechy praw psychologicznych i reguł estetycznych przyrodzonych, a Carlyle mógł powiedzieć o Szekspirze, że był „bezwiednym rozumem.“ Dajcie człowieka z takiem sercem — a poetę zrobi z niego pierwszy lepszy bakałarz; i erudycyą wzbogaci, i fantazyą zapłodni i pisać nauczy — byle tylko było czem czuć!

Natomiast największe oczytanie się dzieł wschodnich, historycznych, podróżniczych i w ogóle wszystkich tych, które wzbogacają materyał fantazyi, na nic się nie przyda, jeśli ten, który pisze wegietował tylko, zamiast żyć pełną piersią, jeśli skarbnica jego wspomnień, zamiast być echem żywych drgnień myśli i uczuć, stać i oporów, uniesień i ciosów będzie tylko zbiorem szkiełek kolorowych, które obrót kalejdoskopu w różne martwe figury układa. Podsycanie sztuczne fantazyi w takich organizmach prowadzi tylko do dzikich zboczeń, do chorobliwych zestawień i niesmacznych porównań. O ile zaś pozostanie w granicach trzeźwiejszych pomysłów, będzie bladą kopią... teatralnych krajobrazów i wielkich dramatów... granych przez trupę maryonetek.

Daleką więc niech będzie od nas zimna sztuka,
Co wzoru swych powabów w naturze nie szuka,
Co daleka od nieba, daleka od ziemi,
Dumny lot toczy między krainy zimnemi,
Nie zna bogów języka, unika prostoty,
Nie zna ludzi w słabościach, nie zna ich wśród cnoty.
Nie uwierzę występkom, cnota mię nie wzruszy,
Gdy nie widzę w nich prawdy, nie znam ludzkiej duszy.

Możemy już teraz uprzytomnić sobie cały zakres czynności fantazyi w twórczości poetyckiej. A więc

1) *Wytwarza ona postacie i obrazy idealne* na podstawie obserwowanych postaci i obrazów rzeczywistych.

2) *Zamienia język pojęć na język wyobrażeń zmysłowych,* czyniąc te ostatnie symbolem pierwszych.

3) *Kojarzy najróżnorodniejsze pod względem treści wyobrażenia,* które w mowie prozaicznej nie zwykły chodzić w parze, a przez to daje poezyi tę rozmaitość jakiej proza nie posiada.

4) *Przerzuca nas z jednej sfery objawów w drugą* czyniąc naturalnym przeskok, któryby nie był naturalnym w zwykłej mowie. Poeta bowiem umie:

Światu wielkiemu dumnie panować
I gwiazdy nocy, poranku zorze,
Ciche strumienie, wzburzone morze
Według swej woli kierować.

A nadto może on

ducha cudem
Czas niedościgły ująć w swe szpony,
Powieścią, wieków zedrzeć zasłony —
Hymnem przyszłości nucić przed ludem!

Co więcej, fantazya jego

5) *Skraca lub powiększa czas i przestrzeń* stosownie do swych widoków; może on bowiem zarówno z jednej chwili życia zrobić cały poemacik; drobny, cichy kącik uczynić światem gwarnych marzeń i przejść duchowych, jak i nawzajem:

W jednej godzinie przywłaszczyć sobie
Długiego życia innych wrażenia,
Pierwsze o szczęściu młodych marzenia
I myśl ostatnią starców o grobie.

Im zaś zręczniej autor umie pomieszać wyobrażenia drobnych z wyobrażeniem rozległych przedmiotów, im wspanialej zolbrzymi jakiś skromny proces duchowy i nawzajem, szerokie horyzonty, długie rozumowania zbije w jeden okrzyk, w jeden obraz, w jeden zamach poetyczny, tem silniej wstrząśnie mrowiskiem wyobrażeń czytelnika i tem większy obudzi w nim zapał. To też ta właściwość poezyi, łącznie z poprzednią, przejawia się szczególnie w gorących odezwach poetyckich; gdy np. Mickiewicz woła:

Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj — a okiem słońca
Wielkości całe ogromy
Obejmuj z końca do końca!

to siła i popularność tej odezwy leżą: pod względem treści — w potędze uczucia, a pod względem formy w *przerzucaniu* fantazyi czytelnika po olbrzymich obszarach i *streszczeniu* tej gorącej piorunowej jazdy w kilku drobnych zwrotach wyrazowych. Albo gdy w odezwie poetyckiej Ujejskiego czytamy:

Orłowy lot — to w niebo i w słońce!
Białość — to czystość ducha i prostota:
Polacy! Wyście tych potęg obrońce,
To waszych dziejów robota!

to tu oprócz nagłego ale umiejętnego *przerzucania* fantazyi, oprócz streszczania wielkich cech w paru drobnych rysach, mamy nadto zwrot, który całe dzieje narodu jednym zamachem przed oczy duszy stawia.

Wiersz do Radości Szyllera lub pierwsza lepsza odezwa poetycka Wiktora Hugo, dostarczą nam wiele podobnych przykładów. Tu poezya występuje ze szczególną siłą, ponieważ jak huragan przebiega i wzburza fale wyobrażeń, ponieważ tłumy widoków zbija w miniatury, a drobnym iskrom każe oświecać bezmiar świata. Fantazya czytelnika wówczas odczuwa swą potęgę, oddycha pełną piersią lub wstrzymuje oddech na chwilę, czując urok swobodnego polotu, a nieczując odpowiedniego mu zmęczenia.

(C. d. n.)

TYDZIEŃ LWOWSKI.

XX.

(O). Na wtorkowem posiedzeniu Tow. Przyr. im. Kopernika prof. Niedźwiedzki zdawał sprawę z ciekawej pracy Czermaka „O wulkanizmie jako zjawisku kosmicznem“. Broszura ta ma tę zasługę że stawia jasno nową teoryą wybuchów wulkanicznych o tyle lepszą od dotychczasowej, że objaśnia nietylko te wybuchy które na ziemi mają miejsce, ale także i te, których objawy lub ślady na wielu innych ciałach niebieskich obserwujemy. Teorya dotychczas panująca przyjmuje, że głównym działaczem wybuchów jest woda, która przez szczeliny zapadając się w głąb ziemi natrafia tam na warstwy coraz cieplejsze lub nawet zupełnie roztopione, przechodzi gwałtownie w parę i prężnością swoją powoduje wyrzucanie na zewnątrz całych mas wulkanicznych. Lecz na słońcu, które nie ma wody, widzimy także zjawiska zupełnie analogiczne z wybuchami ziemskiemi a na księżycu który również nie ma wody, są najwidoczniejsze ślady kraterów, jakimże więc sposobem na tych, lub innych jeszcze ciałach niebieskich zachodzić mogły wybuchy? Na powyższe pytania teorya Czermaka daje jasną odpowiedź. Przyjmuje ona że mimo niezaprzeczonego udziału wody na ziemi, głównym motorem wybuchów są *gazy pochłonięte przez masy roztopione a wydzielane w chwili stygnięcia.* Wiadomo że ciała stałe a mianowicie metaliczne będąc w stanie gorąco-płynnym pochłaniają olbrzymie masy gazów, tak więc musiało być i z ziemią naszą i z każdem innem ciałem niebieskiem, które wedle powszechnie przyjmowanej teoryi Kanta i Laplace'a przechodziło pierwej ze stanu gazowego w płynny zanim zaczęło krzepnąć. Krzepnąc zaś musiało wydzielać gazy pierwej pochłonięte. Taki proces odbywa się ciągle i dziś jeszcze, mianowicie w centralnych warstwach ziemi jeszcze niezupełnie stwardniałych. Jakkolwiek bowiem chemiczna teorya Lyella i mechaniczna Maleta starały się uniknąć przypuszczenia że jądro ziemi jest dotychczas roztopionem, to jednak zarówno wzrastające stale ciepło przy świdrowaniu w głąb ziemi, nawet tak zmarzniętej jak syberyjska, zjawiska źródeł gorących które z tejże głębi wypływają, jak i zwykłe objawy wulkanicznego wyrzucania mas roztopionych, zdają się stwierdzać

niezbicie, że jądro to jest rozpalonem. Jeśli więc gazy przy stygnięciu zewnętrznych jego warstw wydzielające się, nagromadzą się w większej ilości w szczelinach i rozpadlinach podziemnych, to nic dziwnego że prężnością swoją mogą powodować wybuchy przez dłuższy czas powtarzające się. Obliczenia możliwej ilości gazów wydzielanych przez krzepnące wewnętrzne warstwy ziemi i ich siły wykazały, że przypuszczenie to jest możliwem, szanowny więc sprawozdawca wyprowadził na tej podstawie wniosek, że w każdym razie dzisiejsza geologia musi się rachować z tą nową a tak prostą hipotezą Czermaka. Następnie profesor Niedźwiedzki przedstawiał jeszcze piękne okazy krajowej siarki krystalicznej nadesłane mu przez prof. Wawnikiewicza i objaśniał ich powstawanie a w dyskusyi zabierali głos pp. Radziszewski, Kreuz i Tyniecki. Z kolei prof. Radziszewski w krótkich słowach opisał własną metodę otrzymywania kwasu migdałowego i przedstawił jego okazy. Posiedzenie zakończyło się postanowieniem że w przyszłą niedzielę Towarzystwo ma odbyć wycieczkę do Lubienia, Czerlan i Gródka zarówno w celach nauki jak i rozrywki.

* * *

(S). W ubiegłą środę odbył się w sali ratuszowej koncert towarzystwa *Harmonii*. P. Marek, dyrektor tegoż towarzystwa grał trudną fantazyą Thalberga na motyw *Niemej*, a grał tak jak rzadko jemu samemu się zdarza. Pod pięknem wrażeniem jakie nam sprawił, chcieliśmy mu zapomnieć jego *Lieder* i odstąpić je w zupełności jakiejś gazetce niemieckiej która z ich powodu postawiła p. M. „pomiędzy Schumanem a Mendelsohnem.“ (!) Ta jednak niedźwiedzia przysługa niezdołała ośmieszyć naszego zasłużonego artysty, a wykonanie przezeń Thalbergowskiej fantazyi o której mówimy dało w nim uczuć prawdziwego maëstro. Panna Schürer, b. artystka tutejszej opery śpiewała dwie arye i zbierała huczne oklaski. P. Woleński, zaś dobrze deklamował wiersz Słowackiego i świetnie był przyjęty; a choć niekiedy zapominał o tem że nie był na scenie, choć — wedle co prawda dość zwykłej a przeklętej mody — psuł niekiedy i rytm i rym dla frazy, to jednak dał nam poznać całą nieskończoną przestrzeń jaka dzieli deklamacyą prawdziwego dramatycznego artysty od wygłaszań *recte* wyjąkań (przezwanych także deklamacyami) zwykłych amatorów. Wreszcie w panu W. deklamował syn Polski, a to elektryzowało mocno.

Główną zaś a nader przyjemną nowością tego koncertu było wprowadzenie po raz pierwszy przed publiczność nowej naszej pianistki panny Anny Konopackiej. Wiośniana pora jej wieku, sympatyczna powierzchowność obok uderzającej skromności dziewiczej, już same przez się jednały jej słuchaczy. Zdawała się wprawdzie potroszę nieśmiałą, ale nic dziwnego, bo jak nas objaśniają, młoda ta panienka dopiero od niedawna powróciła z Sybiru wraz z ojcem z którym dzieliła prześladowania i wygnania. (Panna K. jest córką obywatela z Krajów Zabranych). Obecne swe wykształcenie artystyczne zawdzięcza ona przeważnie pani Dunin i p. Markowi których jest uczennicą. Wykonanie trudnego i rozległego dzieła Mendelsohna, a mianowicie *Koncertu* G. moll (*Sol mineur*) jaki sobie panna K. na swój debiut obrała wykazuje w niej oprócz mnóstwa artystycznych zalet, jeszcze i wielką sumienność studyów. Młoda więc ta artystka nietylko koncertantkę ale i wyborną nauczycielkę w sobie zapowiada. Umiejętne uwydatnienie miejsc pięknych, dobre cieniowanie, czysty tryl, biegłość i inne przymioty dobrej szkoły, wywoływały już nawet podczas gry panny K. rzęsiste oklaski, mianowicie po odegraniu ze śpiewnością i uczuciem środkowego *Andante*, a pod koniec grzmiące brawa kilkakrotnie ją przywoływały na estradę. Niechaj to świetne przyjęcie będzie dla panny K. zachętą do postępu dalej, do łamania się z losem. Nam się ono wydaje dobrą wróżbą na przyszłość, a ze swej strony życzymy szczerze tej nowej polskiej artystce najpiękniejszego pod każdym względem powodzenia.

Piśmiennictwo polskie.

(*Broszury polityczne*)

Wspomnieliśmy w ostatnim numerze o licznych broszurach politycznych, jakie się u nas pojawiły, wywołane głównie ważnemi a tak blisko nas obchodzącemi wypadkami na Wschodzie. Broszur takich mamy przed sobą sześć — i pokrótce zdamy z nich sprawę, przyczem jednak nie chodzi nam o polemikę z tym lub owym politycznym kierunkiem, lecz o zupełnie objektywne sprawozdanie.

Najdawniejsza z nich — o ile wiemy najmniej we Lwowie znana — nosi tytuł „*Nasz program*“ i wyszła w Krakowie. Zwracamy na nią szczególniejszą uwagę czytelników z powodu iż napisaną jest wcale gruntownie, i uniknęła dość szczęśliwie zwyklej broszurom politycznym pobieżności. Co zaś najważniejsza — pochodzi ona według wszelkiego prawdopodobieństwa z zaboru moskiewskiego, jak można wnosić z wielu cznak tak stylu jak i samejże treści. Autor przechodzi w treściwym poglądzie stosunki wszystkich trzech dzielnic Polski, przedstawia ucisk w zaborach moskiewskim i pruskim i grożącą z tej strony zagladę, po czem w zbyt różowych barwach kreśli stosunki galicyjskie. Wiele prawdy w przedstawieniu pomyślniejszego stanu rzeczy w Galicyi, ale też niejednej przesady byłby autor mógł uniknąć, gdyby stosunki tutejsze był mógł naocznie zbadać. Program autora obejmuje przeważnie *pracę* narodową ku rozwojowi sił materyalnych i intelektualnych całego społeczeństwa, walkę o byt narodowy, i utrzymanie wewnętrznej spójni pomiędzy trzema zaborami. Pod względem politycznym zaś sądzi autor, iż najwłaściwiej możnaby się w dalszych nadziejach narodu oprzeć o — Austryę.

Powyższa broszura wyszła jeszcze przed wypowiedzeniem wojny, i przed nadejściem wiadomości o formowaniu oddziału polskich ochotników w Stambule. Po pojawieniu się odezwy twórców tego legionu wystąpił naprzód w Poznaniu p. Edmund Callier z broszurą „*Słów kilka o legionach polskich*“. Napisana z wielkim zapałem broszura ta stanowczo popiera myśl legionu twierdząc, że przez utworzenie jego Turcya „nie tylko poruszyła naszę sprawę ale podała nam miecz do ręki, który jeżeli nim będziemy władać umieli, niezawodnie zaważy na szali zwycięztwa, i wywołać może nowy stan rzeczy w Europie“. Daremnie jednak szukamy w broszurze dowodu, że istotnie z legionu tego może powstać zupełnie nowy stan rzeczy — bo sama krewkość autora żądnego walki pod polskim sztandarem, samo twierdzenie że legion ten urość może do stutysięcznej armii, za dowód nie starczy. A przykro uderza w broszurze szczere wyznanie autora iż podczas wojny serbsko-tureckiej powstała w nim myśl tworzenia legionów polskich pod opieką.... Rossyi!

Odezwa twórców legionu polskiego i broszura p. Calliera, wywołały zaraz odpowiedzi. We Lwowie pojawiły się po rogach ulic plakaty, na których z daleka widziałeś tylko wielkiemi literami wypisane: *Do broni!* Ten i ów oglądał się, czy prokuratorya lub policya nie zdziera tak buntowniczych plakatów, a przekonawszy się, że jest to tylko tytuł świeżo wydanej broszury, biegł do księgarni by ją kupić i dowiedzieć się, kto też to i gdzie i pod jakiem godłem do broni wzywa? Rozczarowanie było wielkie gdy się przekonano, że treść broszury zgoła z napisem jej niezgodna, a to tak dalece, że właściwie powinien był autor na okładce wypisać komendę! złóż broń! a może nawet... złam broń! Autor jest pessymistą. Legion wielce go niepokoi, i nietylko żadnej doń nie przywiązuje nadziei, ale obawia się wielkiej szkody dla narodowej sprawy. Lekceważąco też wyraża się o legionie i o odezwie jego twórców — a z niektórych ustępów odnoszących się do powstania z r 1863 czujesz, że piszący bardzo się musiał powstrzymywać aby nie popaść zupełnie w ton teki Stańczyka. To też wielu czytelników podejrzywało iż między Stańczykostwem a broszurą tą zachodzi bliskie pokrewieństwo. Programu autor nie stawia — żąda tylko ażeby delegacya polska we Wiedniu i sejm lwowski wyrażały opinie, stwierdzały dążności polskie i program nasz polityczny, bo zdaniem autora „do nich a nie do kogo innego należy przewodnictwo sprawy narodowej“. (Dok. nast.)

Tydzień Warszawski.

X.

Poczciwy nasz ludek zarówno demokratyczny jak i arystokratyczny, nie pomija nigdy sposobności przy której może użyć silniejszych wrażeń. A do takich należą przedewszystkiem nasze nowożytne *circenses*. To też począwszy od godz. 4ej po południu w niedzielę liczny tłum zaczął zapełniać pole mokotowskie będące areną wyścigów. Pogoda sprzyjała najzupełniej i gonitwy odbyły się pomyślnie bez żadnego wypadku. Nie zawsze jednak tak bywa; przed kilku laty jeden z dżokiejów padł tak nieszczęśliwie na twardy brzeg wału przeszkodowego, że w kilka dni skonał a konia, ze złamaną nogą dobić musiano. Wobec podobnych faktów i całej bezmyślności tych ćwiczeń karkołomnych zaczęły się podnosić głosy przeciw wyścigom, które pochłaniają wiele pieniędzy i trudów bez żadnej dla kraju korzyści. Lecz, niechcecie mi może uwierzyć, gdy powiem, że cenzura nie puszczała tych uwag. Między innemi jeden z młodych poetów oburzony faktem najmowania dżokiejów do tej ryzykownej dla nich, a dla panów wesołej zabawki napisał wiersz pod tytułem „Niegdyś i Dzisiaj.“ Była to trawestacya ustępu Maryi Malczewskiego podana obok oryginału. Przypominacie sobie ten ustęp:

Dano znak — wrzasły trąby — szczęknęły podkowy itd.

opisujący taniec z Tatarami. Otóż autor ztrawestował go w następujący sposób:

Dano znak — dzwon się rozległ — szczęknęły podkowy,
Na wygłodzonych jeźdźców — baryery i rowy
Czekają wśród areny...
Dopiero to na polu, gdzie ogromne koło
Wszedłszy w szranki, dżokieje pląsają wesoło,
I kolorową kurtą, nim sławy dostąpią
W żywych strumieniach światła jak sroki się kąpią.
Dochodzą, już dochodzą nierównym szeregiem
Do drewnianej baryery... Niewstrzymanym biegiem
Przed gorącem natarciem przeszkodowa ściana
Roztrącona kopytem, wali się złamana...
Ale baczność zwycięzco! już z boków i w tyle
Współzawodników orszak w wytężonej sile
Spieszy — czas rów przeskoczyć. Ty zuchu na przodzie,
Wszak cię pan twój wytrzymał o chlebie i wodzie
Żebyś jak strzała lekko przeszywał powietrze
I kurtę rozpuściwszy na swobodnym wietrze,
Poprzesadzał przeszkody — a on ci w nagrodę
Za edukacyę szkapy, za ów chleb i wodę
Sprawi ucztę,.. no! śmiało! już ci z góry klaskał...
Szkoda... dżokiej spadł z konia i głowę roztrzaskał.

Cenzor nie puścił wiersza; a gdy autor zgłosił się z zapytaniem co to ma znaczyć, cenzor zapewnił go iż po kilku tygodniach wiersz — z opuszczeniem jednak zestawienia i ze zmianą tytułu „Niegdyś i Dzisiaj“ na „Turnieje“ — puścić może, ale obecnie jest to niepodobieństwem poniewaź „hrabia“ (jenerał Kotzebue) *bardzo lubi wyścigi*. Od takiego wyroku nie ma żadnej apelacyi i wiersz musiał być wstrzymany. Że „hrabia“ lubi wyścigi dał dowód obecnością swoją i w roku bieżącym, porzuciwszy na chwilę zwykłe

swoje zajęcia dążące do uszczęśliwienia „tutejszo-krajowej“ ludności. I nic dziwnego! Jest to bowiem jedyna „podnioślejsza“ zabawa, w której arystokracya miesza się z tłumem i w której najznakomitszym powierzchownościom wolno przybierać pozór zwykłych gapiów ulicznych.

Po skończonych wyścigach tłum różnobarwny i różnojęzyczny podzielił się na trzy partye: jedna ciągnęła Alejami Belwederskiemi do miasta, druga zatrzymała się w Łazienkach, ażeby zająć kamienny amfiteatr nad brzegiem stawu i po przez wodę przysłuchiwać się śpiewom Fileborna i Kozieradzkiego w Beacie Moniuszki, a następnie podziwiać zwinność i wdzięki warszawskiego *corps de balet'u* w jednoaktowej produkcyi choreograficznej pt. Opiekun i Wychowanica. Po skończeniu widowiska ta partya widzów rozproszyła się po zacisznych i pełnych świeżej woni alejach ogrodu botanicznego i parku, i nie jeden melancholiczny reporter „Kuryera Warszawskiego“ mógł do późnej nocy podziwiać wytrwałość warszawskich Romeów i Julij, których słodkie szepty i śmiechy na ocienionych ławeczkach, mieszały się ze szmerem drzew i świergotaniem przebudzonych wróbli.

Nareszcie trzecia partya uwięzła w Dolinie Szwajcarskiej, zajmując z hałasem i szelestem jedwabnych ogonów białe krzesełka koncertowe, których farba ma tę właściwość, że przylega zarówno do łatanego kortu jak i do jedwabnej turniury. A co tam był za przepych, jakie olbrzymie koki, jakie minimalne kapelusiki, jakie czarowne uśmiechy, jakie wonie! *Violette de Parme i Ylang-Ylang* przenikając na wskróś tumany pyłu wzniecone przez przybywające ciągle ogony z „towaszystwa,“ mogły były upoić i odurzyć najwytrawniejszego perukarza. Fliege tymczasem dyrygował z wyjątkowym zapałem w tem błogiem przekonaniu, że cały ten tłum złotej młodzieży przybył do Doliny nie dla wzajemnego pokazania swoich wdzięków, lecz dla słuchania jego muzyki!

Błogosławieni, którzy wierzą, że się bawią — albowiem ich jest... Dolina Szwajcarska.

POGADANKI.

XXXIV.

„Oto ogórków kwaśnych czas,
Oto jest kwaśny czas ogórków,
Oto ogórków czasu kwas,
Oto jest czas kwasu ogorków!“

Na tej zwrotce, którą wykradam z jednego z dawniejszych roczników *Chochlika*, czy też *Szczutka*, mógłbym zamknąć niniejszą pogadankę; — czterowiersz ten bowiem streszcza najdokładniej chwilowy obraz politycznego, naukowego, literackiego, artystycznego i handlowego ruchu naszej stolicy.

I nie dziw! przez kilka dni mieliśmy upały prawdziwie kanikularne, urozmaicone tylko skwarnym wiatrem, przepędzającym tumany prochu i śmiecia po naszych nigdy nie skrapianych i nie zamiatanych ulicach. Przy takich warunkach trudno wymagać od „przeciętnego Lwowianina“ aby się tak bardzo zajmował tem, co się dzieje w Rzymie lub nad Bosforem Przeciętny Lwowianin nie ma czasu, bo się poci!

Chwalmyż zatem kanikułę

Niech nas smarzy — niech nas smali!
— To od głupstwa nas ocali!

Zastanawiając się nad błogim wpływem kanikuły na mądrość polityczną „przeciętnego Lwowianina“, wpadam na trop nowej nauki, której usystemizowanie i wydoskonalenie „narodowym fizyologom“ ku wzbogaceniu panteonu „polskiej umiejętności“, „polskiej wiedzy“ i „polskiej nauki“ szczególniej zalecam.

Wiadomą rzeczą jest, że zmiany meteorogiczne wywierają wpływ niezaprzeczony na organizm człowieka, a zatem na jego umysł i usposobienie, będące źródłem wszystkich jego myśli, uczuć i czynności. Zauważano w Anglii, że największa ilość samobójstw przypada na dnie wilgotne i mgliste, a już i Szekspir wiedział zdaje się, jak wielki wpływ wywierają zmiany atmosferyczne na umysł człowieka:

„Szaleję — powiada Hamlet — tylko wtedy, gdy wieje wiatr od północnego wschodu — podczas wiatru południowego rozróżniam wybornie czaplę od sokoła.“

Ale na co jechać do Anglii! Pewnik ten można sprawdzić i u nas; zauważyliście bowiem państwo z pewnością, że zdarzają się w życiu naszego narodu pewne pory, w których każdy kto żyw pisze polityczne programy, inne znowu w których nawet i nasze „Gwiazdy“ najdoskonalej obchodzą się bez żadnego programu, — tygodnie w których spadają grady dziennikarskich konfiskat, inne znowu w których c. k. prokuratorya zdaje się mniej troskliwie czuwać nad bezpieczeństwem państwa, miesiące w których się z sobą kłócą nasi dziennikarze, inne zaś w których najprzykładniejsza panuje między nimi zgoda, dnie nakoniec w których magistrat wydaje rozporządzenia mające na celu porządek naszego miasta, i lata w których nie przestrzega tychże rozporządzeń wypełnienia. Wszystkie te na pozór dziwaczne objawy nie są niczem innem, jak tylko prawidłowym skutkiem panujących u nas wiatrów i zmian atmosferycznych, jesteśmy bowiem wszyscy barometrami, termometrami, i hygrometrami; — wszyscy — rozumie się z wyjątkiem kilku husytów spirytalizmu, których każdy zna i którzy, jak wiadomo, wolni są od wszelkich ludzkich ułomności.

Otóż więc, zważywszy ogromne postępy, które w ostatnich czasach poczyniły, fizyka, klimato-fizyo-psycho- i eto logia, sądzę, że nie byłoby trudnem ułożyć dla każdego południka kalendarzyk przepowiedni, coś w guście stuletniego kalendarza Knauera, któryby zawierał wieszczby politycznej pogody, opierając takowe na wpływie, jaki na pewne dane temperamenta wywierają pewne dane atmosferyczne stosunki. Kalendarzyk taki upraszczałby niezawodnie politykę naszych mężów stanu; — zamiast bowiem zapuszczać się w głębokie kombinacye, potrzebowałby taki „Mąż Opatrzności“ tylko wiedzieć jakie są barometryczne stosunki w Wiedniu, w Petersburgu, lub w Berlinie, ażeby wiedzieć jak sobie w danym wypadku postąpią Bismark, Gorczaków lub Andrassy, i według tego obrócić swoję polityczną chorągiewkę.

Ażeby dać próbkę takiego kalendarzyka, pozwalam sobie zacytować tu kilka zapisków z mojego kronikarskiego dyaryusza w ciągu ubiegłych trzech tygodni: *d. n.* 25° Reaumura w cieniu. Dziennikarze (temperament sangwiniczny) entuzyazmują się dla sprawy islamu i haremu. Przeciętny Lwowianin (temperament flegmatyczny) powiada: „Nie trza piasku!“

d. n + 1. 26° Reaumura w cieniu. Dziennikarze (temperament sangwiniczny) wymawiają krajowej Radzie szkolnej, iż nie załatwiła dotąd sprawy nauczycieli ludowych przy szkołach Piramowicza i Konarskiego. Rada szkolna (temperament flegmatyczny) powiada na to: „Gadaj sobie zdrów!“

d. n + 2 27° Reaumura w cieniu. Silny wiatr południowy miecie tumany prochu. Magistrat (temperament flegmatyczny) wysyła pięć bab do zamiatania głównych ulic. Baby (temperament nerwowo żółciowy) rozrzucają kupy śmiecia w czasie największej frekwencyi, i zasypują przechodniom oczy, itd.

Z tego co tutaj powiedziałem, odgadnie każdy jak pożądanym byłby taki kalendarzyk, za pomocą którego możnaby się oryentować w sytuacyi, i odgadnąć naprzód już jak sobie w danych okolicznościach postąpi ten lub ów potentat, ten lub ów Jowisz autonomiczny stosownie do swego temperamentu, i panujących atmosferycznych stosunków. Wynalazek mój przekazuję jak już powiedziałem „narodowym fizyologom,“ narodową zaś nagrodę, która mi się za to słusznie należy, przeznaczam na założenie ochronki dla wychowania mniej sangwinicznych dziennikarzy, mniej flegmatycznych radców szkolnych, i zamiataczek przyjemniejszego temperamentu.

* * *

Najtrudniej jednak byłoby objaśnić, pod wpływem jakich wiatrów powstaje tak straszny zamęt w głowach ultramontanów poznańskich, że jedno z ich pism w sposób najzupełniej poważny stawia *Dziennikowi Poznańskiemu* postulaty żądające, aby raz nareszcie wyparł się swoich błędów i wszedł na drogę cnoty. Oto są słowa tego pisma:

„Otóż teraz rad logicznych kilka, póki czas, póki to może być jeszcze uważane za *akt dobrej i własnej woli*:

— niech *Dziennik* uczci Piusa IX nie jako Polaka, tylko jako Papieża;

— niech *Dziennik* przeprosi ks. kardynała Prymasa przed jego powrotem do domu, przed elekcyą etc. etc.

— niech *Dziennik* przeprosi Ludwikę Lateau (sic!) za to, że jej przed trzema laty ubliżył a wreszcie

— niech uzna króla Henryka Chamborda“.

Skromne i rozsądne żądania; nieprawdaż? I dziwić się tu, że poznańskie nie ma swoich pism humorystycznych! Pierwszy lepszy numer, któregokolwiek z licznych tam świstków ultramontańskich wystarczy im za naszego Szczutka lub Dyabła. Byłoby to bardzo zabawne, gdyby nie było tak smutne...

ROZMAITOŚCI.

(Dok). Rozstawszy się na miejscu, gdy już wszelkie bezpieczeństwo na wypadek ataku zarządzili, wódz na nowo zwołał radę, z której wynikło, że jeden z bandytów uda się do Neapolu (zręcznych zaś i sprawnych ludzi im nie brakło) dla powzięcia języka o Jacopo — i gdyby ten żył jeszcze, wręczy pułkownikowi Clavel list od żony wstawiającej się za jego uwolnieniem, i że od tego zależy życie jej, dziecka i siostry, będących tu zakładnikami. Wymiana zaś jeńców ma nastąpić w miejscu przez oddawcę wskazanem. Kiedy Julia pisała, Fra-Diavolo ozwał się:

— Chciej pani dodać te wyrazy: „obchodzą się z nami z szacunkiem i na nikogo uskarżać się nie możemy“.

Poczem odprowadzono jeńców do osobnej izby, zrujnowanej wprawdzie, gdzie znalazły dwa posłania składające się z kołder i słomy. Biedne kobiety skoro zostały same, tonęły we łzach na myśl okropnego położenia i blizkiej a okropnej śmierci, jeżeli tylko Jacopo już powieszony, co prawdopodobnem było, albowiem władze francuskie z bandytami nie żartowały.

Nakoniec musiały biedne zgodzić się z losem i podczas kiedy Julia usypiała małego Augusta, Marya

stojąc w oknie otwartem patrzyła w pogodne niebo i pocieszała siostrę nadzieją wybawienia. Nagle wydała lekki okrzyk zadowolenia i zwracając się do siostry, rzekła:

— Patrzajno Julio, tam w ogrodzie na tej ławce oświetlonej promieniem księżyca, siedzi mnich; może to Bóg łaskaw zsyła nam sługę swojego jako wybawienie?

— Pewnie jakiś mnich zbrzydził sobie klauzurę i przystał do rozbójników.

— Przecie nie był z bandą.

— Ale prawda, coś zasłyszałam, wspominali o jakimś padre, może to on? zostań tu w oknie, ja pójdę do niego.

W korytarzu Julia zastała kilku ludzi na straży, lecz skoro ukazała im że siostra z dzieckiem pozostała na miejscu puszczono ją swobodnie.

Jeszcze jedną pociecha dla biednych niewolnic: mnich był człek poważny i pobożny i tylko przez smutne koleje losu z rozbójnikami się zetknął, bowiem przy napadzie bandy na ten klasztor, jako stary i słaby nie zdołał z inną bracią zakonną ratować się ucieczką i przy ruinach dawnego klasztoru pozostał. Rozbójnicy okazywali mu poszanowanie i nieraz po rozgrzeszenie doń przychodzili.

— Mój ojcze i nam biednym udzielisz rozgrzeszenia w chwili śmierci, bo ta zdaje się niedaleka — rzekła do mnicha młoda kobieta.

— Miej w Bogu nadzieję moja córko i jeżeli tylko Jacopo żyje, zaręczam ci iż możesz polegać na ich słowie.

— Lecz jeżeli umarł?

— Natenczas tyle na nich wymogę, że was bez mąk odrazu zabiją, a spodziewam się że dziecko ocalę; więcej obiecywać nie śmiem — rzekł bardzo wzruszony starzec.

Dzień następny w trwożliwem wyczekiwaniu, wiekiem się wydawał dla biednych niewolnic. Z południa zawezwana sygnałami znaczna część bandy opuściła klasztor, po niejakim jednak czasie wróciła niosąc kilku swoich ranionych, a na kobiety rzucała wzrok nienawistny, miotała przekleństwa. Banda nalegała na wodza, aby mszcząc się za swoich wydał w ich ręce jeńców. O, co za okropne wrażenie sprawiły te domagania na biednej matce, która języki włoski i niemiecki używane w tej jaskini, znała równie dobrze jak francuski, tylko z wiadomością tą nie wydawała się przed nimi, aby mogła w danym razie z tego skorzystać.

Nakoniec o zmroku ruch i krzyki w obozie zwiastowały jeńcom o powrocie posłańca. Trudno opisać trwogę biednych kobiet: głos im w piersi zamierał, pytać nie śmiały i słuchać się obawiały słów, które im wyrok życia lub śmierci głosić miały. Aż Fra-Diavolo z uśmiechniętą twarzą zbliżając się do nich zawołał:

— Vittoria Signorine! mój Jacopo żyje i o wschodzie słońca wszystko do podróży dla pań będzie gotowe.

— A czy nie możnaby zaraz!—krzyknęły jednocześnie obie kobiety.

— Przykro mi, że moje towarzystwo niepodoba się paniom, ale czyniąc zadość ich rozkazom, dam natychmiast przewodnika — ze słodyczą i grzecznym ukłonem mówił bandyta, który zapewne młodym damom nie wydawał się tak ponętnym i czarującym, jakim jest dziś dla nas w roli bohatera opery.

Julia uszczęśliwiona z posiadania niewielkiego skarbu, rozdała kilka złotych sztuk pomiędzy bandytów, którzy nosili i bawili małego Augusta. Cała banda rozstała się z jeńcami jak najlepiej, żegnając ich jakby starych przyjaciół. A ostatnie słowa Fra-Diavola przy ucałowaniu rąk swoich przymusowych gości, były:

— O jedno proszę, ażebyście panie przez całe życie nie zapominały i w razie potrzeby poświadczyły o obchodzeniu się naszem z paniami, pełnem szacunku i grzeczności *).

Dodany przewodnik zaprowadził kobiety do austeryi w dolinie, tam znaleziono przewodnika. Rozbójnik o ile możności naglił do podróży, z gorączkowym pośpiechem zaprzęgał konia; a potem sam go zmuszał do biegu, ostatnich sił z biednej szkapy wydobywając; ciągle zaś z niepokojem po za siebie się oglądał, jakby się pogoni obawiał. Kiedy już sporo drogi ujechali, zwracając się do Julii, rzekł:

— Pani pułkownikowa mnie nie poznaje?—jestem Ludwig z pierwszego pułku Szwajcarów — ile to razy mały August jeździł na moich plecach, kiedyśmy się włóczyli po Kalabryi!

— Biedny chłopcze i ty dezerterem?

— Rad nierad, musiałem a oto dla czego: raz upiwszy się, potuzowałem się z sierżantem i on zrobił głupstwo, bo umarł od moich szturchańców, a że mnie nie chciało się być rozstrzelanym, więc drapnąłem, i teraz widzę że dobrze zrobiłem, bo bez tego p. pułkownik nie miałby szczęścia pani pułkownikowej i swojego panicza oglądać.

— A to dla czego?

— Dla czego? Bo na parę godzin przed mojem przybyciem do Nespolu, Jacopo został powieszony, a skorom się o tem dowiedział, nic nie mówiąc nikomu, w te pędy skoczyłem napowrót do rozbójników, ażeby im oznajmić że Jacopo żyje wprzód nim ktoś krzyknie — „już umarł.“ Fra-Diavolo ma wszędzie przychylnych sobie i w każdej chwili może sprawdzić oszukaństwo, dla tego nie mamy czasu do stracenia, bo gdybyśmy na nowo w jego ręce wpadli, strasznieby się zemścił,— zakończył gorliwie popędzając szkapę. Poczem przyłożywszy rękę do czoła, z wojskowym pokłonem dodał:

— Śmiem spodziewać się, że pani pułkownikowa wyjedna mi ułaskawienie, bo do bandytów wracać nie ma po co, a także co prawda rozstrzelanym być nie mam ochoty.

Nie potrzebujemy dodawać, że poczciwy Ludwig przebaczenie uzyskał.

Ciekawym zaś dalszego losu jeńców Fra-Diavola powiemy tyle, że ów mały August Clavel zmarł w roku 1842, jako znany z nauki profesor szkoły politechnicznej w Sztutgardzie, matka zaś jego przeżywszy męża i syna żyła jeszcze do niedawna.

= Niemiły wypadek zdarzył się niedawno pewnej znakomitości na polu chirurgii w czasie podróży, jak donosi „Gazeta Sądowa“. Chaim R., uchodzący w Krakowie za małego Rotszylda, zachorował mocno i miał się poddać operacyi, czem stroskana rodzina wysłała depeszę do p. profesora w Wiedniu z zapytaniem, czyby zechciał przybyć do Krakowa i za jakim wynagrodzeniem podjąłby się wykonania operacyi. Znakomity lekarz, nie będąc szczególnym miłośnikiem ekskursyj do polskich Żydów, namyślał się chwilę i odtelegrafował rodzinie R., że się operacyi w Krakowie tylko za wynagrodzeniem 3,000 zł. w. a. podjąć gotów.

Rozwija się więc nie bardzo zajmująca telegraficzna gra pytań i odpowiedzi między Wiedniem a Krakowem. R. starali się koniecznie coś wytargować i ofiarowali naprzód 2,000 złr. Następnie 2,500 złr. dodając po trosze, aż pan profesor, nie będąc zwolennikiem podobnych targów, położył im koniec kategorycznem „albo — albo“. Krakowski Rotszyld zgryzł twardy orzech, a profesor nazajutrz wybrał się na miejsce swego przeznaczenia, zapowiedziawszy rodzinie R. swoje przybycie.

Za przybyciem do Krakowa, uczony lekarz, wysiadając z wagonu, spostrzega na peronie gromadę żydów, którzy biegną ku niemu z krzykiem i płaczem. a wyczerpując cały zapas właściwych swych lamentacyj, zwiastują niepocieszającą wieść: panie profesorze, panie profesorze, nieszczęście, Chaim R. umarł.

Można sobie wystawić minę p. profesora na tę wiadomość, na którym już pierwszy widok tłumu żydów nie bardzo przyjemne sprawił wrażenie. Niedługo jednak namyśliwszy się co czynić wypada, lekarz kazał się zawieźć do hotelu, zawezwawszy krewnych zmarłego, aby się umówić o jakie skromne wynagrodzenie za poniesione koszta i zamyślał najbliższym pociągiem powrócić do Wiednia.

W tem wieść o przybyciu sławnego chirurga rozeszła się prędko nie tylko po Kazimierzu, żydowskiej dzielnicy Krakowa, ale nadto w głównym rynku miasta. Istne zbiegowisko zaczęło się tworzyć przed hotelem, a chorzy wszelkiego rodzaju i wyznania cisnęli się do profesora, wzywając o radę i pomoc; dość, że tenże, zamiast jak zamierzał, powracać tego samego dnia do domu, przedłużył o dwa dni pobyt w Krakowie, w którym to czasie ordynował i operował.

Wreszcie pacyenci zostali odprawieni i lekarz zabrał się do powrotu. Gdy przybył na dworzec i w chwili gdy sobie bilet kupował, szarpie go za surdut faktor, mały chytrze wyglądający żydek z czarnemi pejsami. Lekarz, spostrzegłszy tę istotę, nie będącą jeszcze w ścisłym z cywilizacyą stosunku, zapytuje go ostro: „Czego chcesz?“ „Ny ja mam jeden sekret wydać panu profesorowi“, odrzeknie żydek, kręcąc językiem, oczyma i nogami. „Pana oszukano, Chaim R. wcale nie umarł, tylko mu za wiele było płacić 3,000 zł., to też on pana podszedł i pan go zoperowałeś między innymi chorymi w hotelu: Szczęśliwej drogi, panie profesorze!“ Powiedziawszy to faktor zemknął, a zanim zdumiony lekarz miał czas rozważyć co przed chwilą usłyszał, tymczasem zadzwoniono i oburzony profesor, nakląwszy na filuteryą żydków krakowskich, prędko wsiadł do wagonu i odjechał.

= W Paryżu od kilku dni, toczy się ciekawy proces o sukcesyą, po p. Maurycym Garfunkel, wynoszącą kilka milionów franków. Ponieważ osoby należące do sprawy pochodzą po większej części z naszego kraju, sądzimy, że niektóre szczegóły powyższego procesu, nie będą bez interesu dla naszych czytelników. Maurycy Garfunkel wyznania mojżeszowego, rodem z Polski, przybył do Paryża już z pewnym majątkiem i naturalizował się we Francyi. Skutkiem bardzo szczęśliwych operacyj finansowych, majątek jaki ze sobą przywiózł, już sam przez się dość znaczny, pomnożył w dwójnasób. W Auteuil wybudował sobie kosztowną willę, zwaną „Villa du Caprice,“ gdzie żył jak wielki pan i gdzie nakoniec umarł. Będąc jeszcze w Polsce, Garfunkel ożenił się i owocem tego związku była jedyna córka Rebeka, obecnie pani Rabinowicz, licząca pięćdziesiąt ośm lat wieku. Małżeństwo to zresztą nie było szczęśliwe — opuszczając kraj rodzinny Garfunkel, dawno już rozwiódł się ze swoją żoną. Córka pozostała przy matce. W Paryżu w późnej już starości Garfunkel, ożenił się po raz drugi z kobietą niepospolitej piękności p. Rozalią Loury. Panna Loury, zostawszy panią Garfunkel, owładła zupełnie starym swym mężem, tak że ten w końcu pod wpływem młodej i pięknej żony, postanowił adoptować za własne dziecko siostrę żony, pannę Paulinę Wouytch. Różnica między obiema siostrami wynosiła około dwudziestu pięciu lat. Wkrótce Garfunkel, przywiązał się bardzo do adoptowanej córki, i w chwili kiedy ta wychodziła za mąż, dał jej w posagu milion franków — umierając nawet cały prawie majątek, zapisał także Paulinie. Bądź co bądź, jednak nie zapomniał on o córce, z pierwszego swego małżeństwa p. Rebece Rabinowicz, którą zostawił w Polsce. Pani Rabinowicz jednak uważając się za pokrzywdzoną, wystąpiła ze skargą przeciw osnowie testamentu, przedłożyła sądowi pewną ilość listów zmarłego Garfunkela, dowodzących, że stosunek między ojcem a córką, wcale nie był zerwany, owszem odznaczał się nawet pewną wzajemną serdecznością, oraz zakwestyonowała sam akt adoptacyi Pauliny. Obrońca tej ostatniej zarzucał nieprawość urodzenia p. Rabinowicz. Trybunał na ostatniem swem posiedzeniu, które się odbyło w tych dniach, uznał adoptacyą Pauliny Wouytch za nieważną, domaga się jednak, aby p. Rabinowicz złożyła więcej przekonywające dowody swego prawa do majątku po zmarłym jako córka prawa, niż kilka listów Garfunkela. O dalszym ciągu tego ze wszech miar ciekawego procesu nieomieszkamy w swoim czasie zawiadomić naszych czytelników.

*) W tymże jeszcze roku Fra-Diavolo pojmany i osądzony, zsyłał się na świadectwo pp. Claval i Snell, a chociaż mu tego nie odmówiono, wszakże nie na wiele się to przydało, bo go szubienica nie minęła.

Treść Nr. 41.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego). Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.